

„TAJNY
DETEKTYW”

zabójca
przyznaje się
do winy

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 16 (1010)
17 KWIETNIA 1977 R.
CENA 3 ZŁ



SUROWCE

LUCJUSZ
WŁODKOWSKI

PAPIER

Od wielu wieków papier towarzyszy człowiekowi. Wynaleźli go Chińczycy, ale musiały minąć stulecia, aby papier stał się człowiekowi niezbędny. Ledwie się człowiek urodzi, a już ma do czynienia z papierem. Na papierze bowiem sporządza się akt urodzenia. Na papierze też sporządza się akt zgonu. W miarę upływu życia w różnych teczkach różnych instytucji gromadzą się sterty papierów. Ale na tym nie kończy się rola papieru w życiu współczesnego człowieka.

Z papieru i tektury robi się opakowania, skrzynie, pojemniki. Na papierze drukuje się książki, gazety, czasopisma. Na papierze uczniowie odrabiają lekcje a studenci notują wykłady. Na papierze pisze się podania i miłosne listy. Papierowe są pieniądze i naczynia jednorazowego użytku. Ze specjalnych gatunków papieru robi się buty, pieluszki, obrusy, ściereczki, chusteczki do nosa, bieliznę pościelową, koszule, a nawet sukienki. Gdyby pewnego dnia zabrakło papieru...

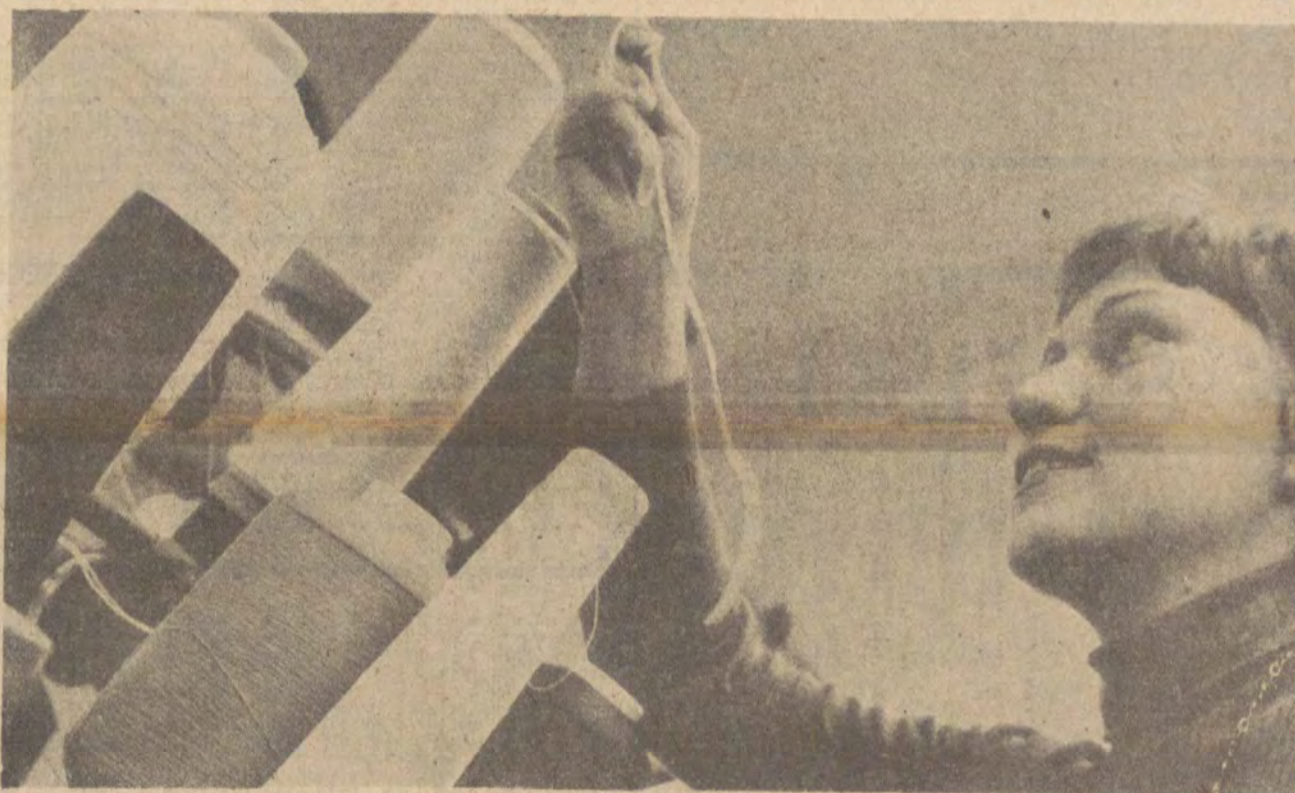
Produkcja i zużycie

Papier jest i będzie nadal potrzebny człowiekowi. Gdybyśmy wzięli tylko pod uwagę dwie dziedziny: wydawnictwa i opakowania, to okazałoby się, że zapotrzebowanie na papier rośnie nieustannie.

„Rocznik statystyczny 1976” podaje, że w 1975 roku w przeliczeniu na jednego mieszkańca produkowaliśmy 34,9 kg papieru. Jednakże rocznik statystyczny, wydany przez tenże sam GUS, a noszący tytuł „Kraje RWPG 1960 — 1975” podaje, że w 1975 roku w Polsce produkowano 28,8 kg papieru w przeliczeniu na jednego mieszkańca. Mirosław Kowalewski w „Trybunie Ludu” z 17

Dalszy ciąg na str. 5

WŁOKNIARZE



KRZYSZTOF POGORZALEK

DALEKO OD KOŁOWROTKA

JEST TAKIE POWIEDZENIE: DO DOBREGO CZŁOWIEK LATWO I SZYBKO SIĘ PRYZWYCZAJA... I JEST TO ŚWIĘTA PRAWDA. JAK WIELU Z NAS — ŁÓDZIAN, KAŻDEGO DNIA STYKAJĄCYCH SIĘ Z PRZEMYSŁEM LEKKIM, SZCZEGÓLNIE WŁÓKIENNICZYM, ZDOŁAŁO SIĘ SZYBKO OSWOIĆ Z TAKIMI NAZWAMI JAK „DYWILAN”, „TEOFIŁÓW”, „POLANIL”, „BISTONA” CZY „VERA”. NIKOGO TEŻ NIE DZIWIJE JARZĄCA SIĘ ŚWIATŁEM SYLWETA NOWEGO „PROCHNIKA”. TAK BYĆ POWINNO — I KWITA. NO COŻ, ALE TAK PRZEZ DŁUGIE LATA NIE BYŁO. UCZYNILIŚMY OGROMNY WYSIŁEK, W SAMEJ TYLKO ŁÓDZI „POSZŁO” NA TO BLISKO 40 MILIARDÓW ZŁOTYCH BY PRZEMYSŁ LEKKI MOĞŁ UBRAC TAKIE SZATY. BYŚMY MOGLI Z UZASADNIONĄ DUMĄ MÓWIĆ, IŻ DZIŚ WIĘKSZOŚĆ MASZYN PRACUJĄCYCH W POLSKIM WŁÓKIENNICZYM NIE MA WIĘCEJ NIŻ PIĘĆ LAT, TO ZNACZY, ŻE POD WZGLĘDEM TECHNICZNYM JESTEŚMY W ŚWIATOWEJ CZOŁÓWCE. I JESZCZE COŚ: TEN REZULTAT JEST Z PEWNOŚCIĄ NIE TYLKO SKŁADNIKIEM MANEWRU EKONOMICZNEGO. TO KWESTIA POLITYKI SPOŁECZNEJ PARTII I RZĄDU, ODPOWIEDŹ NA NASZE POTRZEBY I CHĘCI, A TAKŻE APETYTY, CO WARTO WIEDZIEĆ, A RACZEJ ZAKARBOWAĆ W PAMIĘCI. NO I PRZYPOMINAĆ CHOĆBY Z TAKIEJ OKAZJI JAK „DZIEŃ WŁÓKNIARZA”. A JEŻELI JESTEŚMY JUŻ PRZY TYM, TO JAKIE SĄ NAJNOWSZE TENDENCJE W PRZEMYSŁE, KTÓRY „WYSZEDŁ” OD KOŁOWROTKA?

W POŚCIGU ZA NAJLEPSZYM

Nim jednak o tym, najpierw o miejscu polskiego przemysłu włókienniczego w światowej rodzinie liczących się w międzynarodowej skali producentów tego rodzaju wyrobów. To warto wiedzieć, tym bardziej że aż nazbyt często nie zdajemy sobie sprawy z zajmowanej pozycji.

Zacznę jednak nie od liczb, ale od ogólnego stwierdzenia: dynamiczny rozwój przemysłu lekkiego w Polsce, będący jednym z wyznaczników polityki ekonomicznej i społecznej po roku 1970, przyniósł w rezultacie ogromny wzrost roli polskiego włókiennictwa jako liczącego się w świecie producenta tkanin oraz wyrobów odzieżowych. W wielu dziedzinach, pod względem ilościowym, osiągnęliśmy obecnie poziom najbardziej liczących się „w branży” i produujących w światowych tabelach krajów kapitalistycznych. W wielu, to nie oznacza naturalnie, że we wszystkich.

POLSKI PRZEMYSŁ LEKKI BARDZO POWAŻNIE ZWIĘKSZYŁ PRODUKCJĘ OSIAGAJĄC ZNACZNIE LEPSZE REZULTATY ANIŻELI

Dalszy ciąg na str. 3

ZDROWIE

JAN BABIŃSKI

CZY JEST COŚ ZŁEGO W PIĘKNOŚCI?

Jest ich w kraju 32. Należą do najwięzszego w Polsce grona wysokiej klasy specjalistów. Jeden przypada na milion mieszkańców. W Łodzi pracuje ich kilku. Dokonują z powodzeniem trudnych operacji plastycznych i korekcyjnych. Odwiedziłem ten szpital dwukrotnie. Przy pierwszej wizycie dr Julia Kruk pokazywała rzeczy wstrząsające. Za drugim razem oprowadzał mnie po klinice profesor Jan Goldstein. Ujrzałem wtedy pacjentów, którzy swym wyglądem budzili tyleż współczucia co grozy. Widok potwornie zniekształconych twarzy przyprawia nawet człowieka o stałowych nerwach o trupią bladłość.

Dr Julia Kruk spokojnie objaśniała.

— Ta dziewczyna wskutek zeszczenia usiłowała targnąć się na życie. Dziś jest szczęśliwą matką. Udało się, prawda, że bliźni nie widać?

Kiwałem głową jak automat, choć instynktownie niejako budził się we mnie odruch obronny. Twarze bez nosa, twarze bez uszu, twarze pogwigniatane, pomiażdżone, zdeformowane w sposób nie dający się opisać. Potwór o najbardziej sadystycznych skłonnościach nie mógłby tak pokiereszować tego mężczyzny, który leżał rozciągnięty na szpitalnej pościeli. Znowu doszedł mnie głos dr Julii Kruk.

— Tego młodego człowieka podpalili w miejscu pracy jego koledy. Zasnął, wtedy przyszli i dla zabawy przyłożyli mu do ubrania zapalniczkę. Proszę spojrzeć, skórę trzeba było wielokrotnie przeszczepiać, wciąż od nowa, wciąż nowe przeszczepy.

A tę dziewczynę przywieziono do nas wprost z fabryki. Miała zerwany skalp. Nachyliła się za niską do maszyny no i stało się. Proszę popatrzyć na pierwsze zdjęcie. Głowa dziewczyny jest jedną wielką krwawiącą raną. Teraz wyświetlę drugie

Dalszy ciąg na str. 6

KONTAKTY

LITERATURA POLSKA NA UKRAINIE

W terminie od 18 do 25 kwietnia 1977 roku odbędą się na Ukrainie DNI LITERATURY POLSKIEJ. Jakkolwiek przyjaźnielskie kontakty pisarzy polskich i radzieckich mają już swoją długą historię, a dorobek naszej literatury był już wielokrotnie prezentowany w wielu Republikach Radzieckich — tegoroczna impreza, poprzedzona szeroką reklamą prasową, otrzymała wyjątkowo staranną oprawę i niespotykaną dotąd rangę. Wystarczy wspomnieć, że na czele obchodów DNI LITERATURY POLSKIEJ stanął wicepremier Ukrainy, Piotr Trońko i że — poza Kijowem — książki polskie (ponad 2.300 pozycji) zostaną zaprezentowane we wszystkich większych miastach Republiki, między innymi w Wołynie, Lwowie, Doniecku, Charkowie, Zaporozżu, Odesie.

Wbrew swojej nazwie — program obchodów zdecydowanie wykracza poza ramy beletrystyki. Oprócz poezji i prozy, eseistyki, reportażu i krytyki, przedstawione zostaną również wydawnictwa społeczno-polityczne i naukowe, encyklopedie, słowniki, podręczniki szkolne i literatura dziecięca. Przewiduje się ekspozycję grafiki książkowej, fotografii i plakatu związanego z książką, a także cały szereg wystaw prezentujących dorobek kulturalny i przemysłowy Rzeczypospolitej, Ludowe Wo-

sko Polskie, polskie zabytki, malarstwo i teatr. Na czele delegacji polskiej, która uda się w tym czasie na Ukrainę, stoi Prezes ZLP, Jacek Iwaszkiewicz. Wśród towarzyszących mu pisarzy, utrzymujących żywe stosunki z ukraińską literaturą i kulturą, znajdują się między innymi — Halina Auderska, Zbigniew Zaluski, Jan Szczepański, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Bohdan Drozdowski, Julian Kawalec, Tadeusz Nowak, Eugeniusz Paukszt i Zbigniew Domin. Wszyscy oni wystąpią na licznych spotkaniach, które będą miały miejsce w wielu ośrodkach Ukrainy — w szkołach, uczelniach, redakcjach, zakładach pracy oraz instytucjach kulturalnych.

W ramach DNI LITERATURY POLSKIEJ odbędzie się obszerny przegląd naszej kinematografii, z uwzględnieniem wszelkich gatunków filmowych — fabularnych, dokumentalnych, animowanych, przy czym polscy twórcy filmowi wejdą w skład oficjalnej delegacji i spotkają się w czasie pokazów z ukraińskimi widzami. Warto także wspomnieć, że obchody uświetnione zostaną wspólnym Koncertem Przyjaźni, który przy udziale artystów polskich i radzieckich odbędzie się w pałacu UKRAINA w Kijowie.

Ze strony polskiej w przygotowaniu DNI LITERATURY wzięły udział liczne or-

ganizacje polityczne, kulturalne i prasowe. Przygotowano odznaki ZASŁUŻONY DLA KULTURY POLSKIEJ, które wręczy się działaczom ukraińskim. Wraz z pisarzami, artystami i filmowcami wybierają się na Ukrainę kilkunastu dziennikarzy, którzy na bieżąco informować będą polską opinię publiczną o przebiegu uroczystości.

Wielki wkład w zorganizowanie imprezy ma Towarzystwo Przyjaźni Radziecko-Polskiej, a także ukraińskie Radio i Telewizja, gdzie ukazuje się dużo informacji o naszym kraju.

To samo tyczy się radzieckich czasopism. Tygodnik UKRAINA oraz LITERATURA UKRAINY przygotowują numery specjalne, w innych periodykach i dziennikach opublikowane zostaną materiały ukazujące nasze osiągnięcia w różnych dziedzinach życia, a autorami ich będą zarówno publicyści polscy jak i radzieccy.

Nie będzie sloganem, jeśli powiemy, iż ta godna ze wszech miar inicjatywa wydatnie spopularyzuje naszą kulturę i sztukę w tej części Związku Radzieckiego, służąc dalszemu wzajemnemu poznaniu się obu zaprzyjaźnionych narodów.

ANDRZEJ
MAKOWIECKI

INICJATYWY

OŚRODEK SZTUKI I KULTURY MŁODYCH

W styczniu br. został powołany do życia Ośrodek Sztuki i Kultury Młodych przy Łódzkim Domu Kultury. Koncepcja powołania Ośrodka powstała w Wydziale Oświaty, Wychowania i Kultury Urzędu Dzielnicy Łódź-Śródmieście, a ciężar działalności organizacyjnej przejął Łódzki Dom Kultury. Podstawowym celem Ośrodka jest koordynowanie wszelkich poczynań młodych twórców z terenu całego miasta z tym, iż pojęcie kultury jest rozumiane bardzo szeroko. Ambitnym zamierzeniem Ośrodka jest więc skupienie wokół siebie i prezentacja dokonań twórczych na każdym polu działalności młodych ludzi — zarówno artystycznym jak i naukowym, gospodarczym, ekonomicznym i produkcyjnym.

Zamierzenia niełatwo zważyć fakt, że wiąże się one przede wszystkim z przełamaniem pewnych barier i mylnych osądów przypisyjących działalności kulturalnej znaczenie wyłącznie artystyczne. Twórcą kultury to nie tylko pisarz, poeta, plastyk czy reżyser, lecz również wynalazca, naukowiec i każdy człowiek, który swą pracą przyczynia się do tworzenia nowych wartości zarówno w sferze materialnej jak i duchowej naszego społeczeństwa. Stąd też program zawarty w haśle „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką” jest odpowiednią na potrzeby ścisłej integracji środowisk artystycznych i produkcyjnych.

Głównym inicjatorem poczynań Ośrodka jest młody łódzki poeta, przewodniczący Koła Młodych przy Oddziale Związ-

ku Literatów Polskich — Andrzej W. Mikolajewski, mając stałą pomoc i poparcie dyrektora Łódzkiego Domu Kultury w osobach dyr. J. Jana Jakubczyka i Dariusza Wyszczelkiego. Do wszelkich akcji włącza się czynnie także Bogdan Jachowicz, pełniący w ŁDK funkcję pełnomocnika ds. Sojuszu Świata Pracy z Kulturą i Sztuką.

Podstawowymi formami działalności w chwili obecnej są m. in.:

Trybuna Twórczości Młodych — spotkania, w których uczestnictwo związane jest z prezentowaniem własnej twórczości, konfrontowanie jej w dyskusji oraz wymiana poglądów. W dotychczasowych Trybunach uczestniczyło wielu młodych poetów, plastyków, aktorów i kompozytorów.

Seminarium Literackie — spotkania z pisarzami połączony z dyskusją na z góry obrany temat, jak np. „Społeczna rola literatury”. W Seminarium brali już udział m. in.: Wiesław Jazdzynski, Dorota Chrościelewska i ostatnio Jerzy Wawrzak. Opiekę programową nad seminarium podjął się dr Tadeusz Błażewski — kierownik Działu Literatury Pięknej Wydawnictwa Łódzkiego. Jest to o tyle cenne, że młodzi adepci pióra mogą jak gdyby na co dzień kontaktować się z przedstawicielem tak ważnej dla nich instytucji, jaką jest Wydawnictwo.

W najbliższym okresie odbędą się wernisaże młodych plastyków, prezentacja dorobku młodej szkoły artystycznych i młodych adeptów literatury.

KRZYSZTOF
SZOSTAK

KSIAŻKA

Kolejnym tomem popularnonaukowej serii Książki o Książce jest wznowienie wspomnianego Jana Michalskiego (1876-1950). Z wykształcenia filolog, z zawodu nauczyciel, przez całe życie zbierał książki. Owocem wieloletniego zbieractwa, którego początki przypadają na lata gimnazjalne, wytrwałych poszukiwań i niepospolitego zapaśwa książką była cenna biblioteka, licząca przeszło 30 tysięcy tomów. Zainteresowania polonistyczne określał profil zbiorów. Michalski zdołał zgromadzić kilkadziesiąt druków polskich z XVI i XVII stulecia, w tym wiele pozycji unikalnych, tyleż rękopisów z okresu staropolskiego. Wspaniale przedstawia się kolekcja druków z XVIII wieku. Ułotek, broszur politycznych i czasopism czy pierwszych wydań piśmiennictwa. Zafascynowany literaturą romantyczną zgromadził niemal całą spuściznę literacką XIX w., literaturę o wieszcach ze szczególnym uwzględnieniem twórczości Słowackiego, opracowa-

łmunta Wolskiego, Józefa Dręgi i Kazimierza Piekarzkiego, bibliofilów, których cenili najbardziej, poświęca swoje wspomnienia. Czytając Książkę o Książce, Michałski odnosi się wrażenie, że to co pisze o ludziach jest pretekstem do pisanego o książkach. Bo też jest ona głównym bohaterem tych bibliofilskich wspomnień. Nieprzeciętny znawca książki i rynku antykwaryjskiego dzieli się z czytelnikiem swą ogromną wiedzą, nabytą przez lata obcowania z książką. Pisze o rzadkich i poszukiwanych książkach, z których wiele przetrwało do dzisiaj jedynie w formie legendy bibliograficznej, o znanych sobie kolekcjach bibliofilskich, no i przede wszystkim o swojej bibliotece. Będąc stałym klientem antykwariatu, potrafił wyrobić sobie wśród księgarzy stanowisko wyjątkowe. Między innymi korzystał z przywilejów jak prawo pierwokupu czy własnej wyceny zakupionych książek. Ta „słabość do nana profesora”, jak określali to anty-

BIBLIOFILSKIE WSPOMNIENIA

nia historyczno-literackie. Przekład. Bogato reprezentowane były liny działy humanistycznej bibliografii i nauka o książce, historia pedagogiki i szkolnictwa, filologia, etnografia, sztuka. Zebrał także ciekawe kolekcje teatrallów, warszawian, judaistów, druków bibliofilskich, tekstów ludowych i pamiątek. Księgozbiór uzupełniały zbiory ikonograficzne — około 10 tysięcy jednostek.

Kompletowany w ciągu 85 lat księgozbiór, w całości skatalogowany, stał się warsztatem pracy polonisty o niemieckiej wartości naukowej. I tak traktowany był przez właściciela. Michałski chętnie udostępniał swoje książki w domu, często je wypożyczał. Jego zbiory były ekspozowane na wielu wystawach. W latach okupacji był to teren warszawski, który dostępnym księgozbiorem naukowym. W 1949 r. przekazany w formie fundacji do Instytutu Badań Literackich, który do dziś społeczeństwu.

Pamiętnik, ukończony w lutym 1946 roku, zapatrzony w pierwszy wydaniu w podtytuł „Wspomnienia, wrażenia, rozważania”, obejmuje półwiecze dzieł księgarstwa i bibliofilstwa warszawskiego. Spod pióra Michałskiego nowo ożywa postać antykwariusza, z którym stykał się niemal codziennie w swych wędrówkach w poszukiwaniu książek. Pisze o ludziach, z którymi się spotykał. Są to zbieracze i bibliofile warszawscy: Piotr Chmielowski, Gabriel Korbut, Wiktor Gomulicki, Jan Karłowicz, Wiktor Witwicki, Ignacy Chrzanowski, Zenon Przesmycki. Nie sposób wymienić tu wszystkich (z bogatej galerii postaci, którą przedstawia Michałski, Pamięci Zy-

kwariusze, wynikała z wyjątkowej rzetelności, opini światowego znawcy książek, budzącej szacunek pasji zbieracza. Darzony powszechną sympatią, odzwierciedlał się służąc każdemu radą, pomocą i... książką ze swej biblioteki.

Obecna edycja została poprzedzona szkicem Jana Trzynieckiego, który nie tylko przypomina sylwetkę bibliofila, ale cytując fragmenty wspomnień z lat szkolnych i uniwersyteckich, nie objęte wydaniem książkowym. W stosunku do pierwszego wydania z 1950 roku, obecne stało poszerzone o aneks, gdzie po raz pierwszy opublikowane zostały cztery listy autora do Zofii i Tadeusza Mikulskich z lat 1946-1948, traktujące o problemach związanych z wydaniem pamiętnika i przekazaniem księgozbioru na rzecz społeczeństwa. Znalazł się tam również przedruk recenzji pierwszego wydania „55 lat wśród książek” pióra Tadeusza Mikulskiego oraz historia przekazania biblioteki do Instytutu Badań Literackich, skreślona przez Ignacego Sieradzkiego. Indeks notulacy z góra pół tysiąca nazwisk i dokumentacja ikonograficzna są cennym uzupełnieniem książki. Wydawca Zakład Narodowy im. Ossolińskich — zadbał też o nadanie bibliofilskim wspomnieniom estetycznej szaty graficznej.

MAREK CZECHOWSKI

Jan Michalski: „55 lat wśród książek”. Wrocław, Ossolineum 1976, XV, 212 s., Książki o Książce.

PLASTYKA

W roku 1875 historyk sztuki i konserwator zabytków w Petersburgu, Schoebel pisał o sztuce Srodkowej i Południowej Ameryki: „Coraz więcej dzieł starożytnej sztuki amerykańskiej dociera do Europy, ale nie stała się piękniejsza. Można nawet powiedzieć, że z estetycznego i artystycznego punktu widzenia z twórczością żadnego ludu starożytnego nie było tak źle, jak z sztuką i kulturą Ameryki”. Osiągnięcia dawnej sztuki amerykańskiej: by przekonanie się o tym, wystarczy jeden rzut oka na zbiory Luwru, a kolekcja petersburska pogląd ten jeszcze umacnia. Można wnioskować, że dawny Amerykanom brakowało zmysłu piękna, a więc nie było u nich również moralności... Ta niechęć, nawet odrada do sztuki amerykań-

wem pojawił się na półkach księgarskich i podejmując próbę obiektywnego scharakteryzowania i skatalogowania sztuki obu Ameryk od czasów prekolumbijskich po dzień dzisiejszy. Syntetyczne ujęcie tematu wprowadza nas w labirynt cywilizacji starożytnych, w niedocenianą i mało znaną rodzimą sztukę okresu kolonialnego i w „wzrost” animizmu kultury „płowy”. Tędyż, a nie inaczej, informuje nas o aktualnych tendencjach rozwoju twórczości sztuki, o podejmowanych próbach jej regeneracji. Książka przygotowana przez Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe wyposażona została w bogaty zestaw reprodukcji barwnych i czarno-białych.

Zwracam na nią szczególną uwagę, bo pierwsza to w naszym je-

SZTUKA AMERYKI

skiej trwała niemal do lat ostatnich. Dziś nie ona przesłania o samego początku od chwili pierwszego zetknięcia się z nią Europejczyków w czasach konkwisty. Była to niechęć zrozumiała i gwałtowna, wyrażająca się przede wszystkim w permanentnym niezrozumieniu i unicestwianiu kultury Indian. Azteków, Majów i innych ludów zamieszujących obszary Południowej Ameryki. Niechęć wynikająca z różnic kulturowych i religijnych oraz z założeń polityczno-ekonomicznych.

Za naszych już czasów awersja do kultury amerykańskiej przetrwała, wyrażając się przede wszystkim w permanentnym niezrozumieniu i unicestwianiu kultury Indian. Azteków, Majów i innych ludów zamieszujących obszary Południowej Ameryki. Niechęć wynikająca z różnic kulturowych i religijnych oraz z założeń polityczno-ekonomicznych.

Wyczerpanie własnych tradycji, wysychanie źródeł rodzimej inspiracji pozwala głębiej zrozumieć i zaakceptować dorobek cywilizacji innych. W tej chwili stać nas na to, aby patrzeć na inne kultury i sztukę innych ludów „okiem gołym”, a nie poprzez złudne filtry Błędniego Morza.

Książka Frederika J. Dockstadera „Sztuka Ameryki” (ukazała się już dwa tomy, trzeci nieba-

zyku publikacja tak obszerna o sztuce obu Ameryk, odnotowująca aktualny stan badań, wniosków i hipotez.

Frederick J. Dockstader — „Sztuka Ameryki”. Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe 1976.

ANDRZEJ GRUN

P.S. Przy okazji pragnę zwrócić uwagę na mini-albumki wydawnictwa Arkady. Ten popularny w zachodnich wydawnictwach rodzaj publikacji przyjmuje się i u nas. Arkady wydały już całą serię tych książeczek, a więc Manet, Miro, Modigliani, Renoir i wielu innych malarzy można nabyć za 15 zł. Wydały też w tej samej serii cztery tomiki pt. „Sztuka meksykańska”. Niestety, czarno-białe reprodukcje są właściwie szare, nieostre, zjada je reszka, masek, naczyni kulturowych, architektury — kłoda! Zdumiewająca fuszerka. Tylko po co? Gwoli statystyki, że się „coś” wydalo?

A.G.

INFORMACJE

NAGRODZENI W „DEBIUTACH 77”

W SDK „Lokator” zakończył się II Wiosenny Turniej Poetycki „Debuty 77” zorganizowany przez Zarząd Łódzki ZSMP i Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy „Wiadukt”. I nagrodę jury przyznało Zdzisławowi Boguszewiczowi za wiersz „Szczęście”, II — Magdalenie Remane za wiersz „Maraton”, III — Januszowi Gauerowi za wiersz „Czas spalony”.

Wyróżnienia otrzymali: Krystyna Panusz za wiersz „Miejsce”, Ewa Włodarczyk za wiersz „On dał mi koral” i Piotr Celnik za wiersz „List”.

Nagrodę publiczności, ufundowaną przez Społeczny Dom Kultury „Lokator” zdobyła Bożena Siuta za wiersz „Kalec-two”.

STUDENCKIE PLANY KULTURALNE

Kalendarz tegorocznych ogólnopolskich imprez kulturalnych przewiduje zorganizowanie wielu interesujących imprez, których twórcami będą studenci, a odbiorcami nie tylko środowisko akademickie, lecz także mieszkańcy wielu mniejszych miejscowości.

W pierwszych dniach kwietnia odbędzie się w Krakowie kolejny festiwal piosenki. Konkurs krakowski zapewni najbardziej utalentowanym młodym piosenkarzom „wejście” w świat piosenki.

Znany studencki Klub Politechniki Warszawskiej „Riwierr-Remont” jest organizatorem ciekawej imprezy. Będzie to międzynarodowe sympozjum filmowe pt. „Science fiction — nadzieje i zwątpienia”. Sympozjum odbędzie się w dniach 20-24 kwietnia br.

Interesujące i godne spopularyzowania formy działalności klubów studenckich (jest ich ok. 240), przedstawione zostaną w Krakowie w dniach 22-24 kwietnia podczas ogólnopolskiej giełdy programowej klubów.

Jubileuszowy XV Tydzień Poetycki stolicy, który odbędzie się w dniach 5-11 maja zostanie poświęcony poezji rosyjskiej i radzieckiej w związku z obchodami 60 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Rozstrzygnięty zostanie jednocześnie konkurs poetycki pod hasłem „U źródeł nowego wieku”.

Okres lata przyniesie m. in. w Krakowie ogólnopolski przegląd grafiki studenckiej, w Łodzi — finał ogólnopolskiego konkursu klubów studenckich o nagrodę „Czerwonej Róży”, liczne obozy artystyczne i plenery studenckich twórców oraz przede wszystkim tradycyjną „Famę”, która odbędzie się jak zwykle w Swinoujściu. Jest to najważniejsze doroczne wydanie w studenckim ruchu kulturalnym. Wezmą w nim udział najlepsze studenckie zespoły artystyczne. Wielu uczestników „Famy 77” odwiedzi następnie woj. chełmskie, gdzie trwać będzie (drugi rok z rzędu) akcja „Chełm 80”.

TURNIEJ JEDNEGO WIERSZA

Koło Młodych przy Oddziale Łódzkim ZLP, Ośrodek Sztuki i Kultury Młodych, Federacja Stowarzyszeń Kulturalnych w Łodzi i Środowiskowe Centrum Kultury Studenckiej zawiadamia o mającym się odbyć 3 maja 1977 r. w Klubie Studentów „77” (Piotrkowska 77) Turnieju Jednego Wiersza połączonym z Turniejem Jednego Obrazu.

Oba turnieje mają charakter otwarty.

Organizatorzy przewidują następujące nagrody (tej samej wysokości w dziedzinie poezji i malarstwa):

I nagroda — 1000 zł

II nagroda — 600 zł

III nagroda — 400 zł

Ponadto jury przyzna po dwa wyróżnienia w każdej dziedzinie.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAZDZYNSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) JERZY WILMAŃSKI, (sekretarz redakcji) Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGO RZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMANSKI -GLANC.

WŁÓKNIARZE



Foto: Archiwum

DALEKO OD KOŁOWROTKA

Dalszy ciąg ze str. 1

PRZEWIDYWAŁ PLAN: 87 MILIARDÓW — TAKA BYŁA WARTOŚĆ DODATKOWO WYTWORZONYCH W MINIONYM 5-LECIU WYROBÓW. DOSTAWY NA RYNEK, KTÓRE MIAŁY SIĘ ZWIĘKSZYĆ O 48 PROC W ISTOCIE POWIEKSZONO O 94 PROC. WSZYSTKO TO W PORÓWNIANIU DO ROKU 1970.

A teraz szczegóły, choć trzeba tutaj koniecznie dodać, iż korzystając z międzynarodowych statystyk, nie dysponujemy najbardziej aktualnymi danymi, to znaczy uwzględniającymi końcowy bilans ubiegłego roku. Niemniej tendencje ogólne, jak i nasza pozycja, są łatwo zauważalne, charakterystyczne. Tak więc biorąc za „podstawę wyjściową” rok 1960, dokonaliśmy w naszym przemyśle ponad 3-krotny wzrost produkcji okryć oraz ubiorów, szybko rozwijała się produkcja wszelkiego rodzaju bielizny z dzianin — wzrost 2,5-krotny, chociaż trzeba zaznaczyć, że startowaliśmy z niewysokiego pułapu. Przeliczając na jednego mieszkańca naszego kraju, zdołaliśmy zwiększyć 2,3 raza wytworzenie okryć oraz ubiorów dzianinowych.

Pod względem rozmiarów produkcji tkanin bawełnianych — to jest ważne, jak się okazało jeszcze — znowu licząc „na głowę” wyprzedzamy właściwie wszystkie czołowe państwa kapitalistyczne, a jeśli chodzi o tkaniny wełniane oraz okrycia i ubiory z dzianin, to ustępujemy tylko Włochom. Jesteśmy bardzo bliscy, przeliczając na jednego mieszkańca naszego kraju, zdołaliśmy zwiększyć 2,3 raza wytworzenie okryć oraz ubiorów dzianinowych.

Abymy się jednak zbytnio... nie rozdzikawiali, to wypada też powiedzieć, że daleko nam do czołowych producentów wyrobów pończoszniczych. Ten rodzaj włókienniczej wytwórczości wzrósł w omawianym okresie o jakieś 48 — 50 proc. Tymczasem pończoszniczo japońskie zwiększyło swoją produkcję 5,5 raza, Włochy — 2,6 raza, Francja — 2-krotnie, RFN o blisko 90 proc., przy czym w tych krajach poziom wytwórczości był także znacznie wyższy. Nie zmienia to ostatecznej konkluzji, wynikającej z przytoczonych tutaj liczb i wskaźników. Rzeczywiście zrobiliśmy krok do przodu jeśli chodzi o rangę polskiego przemysłu włókienniczego. To cieszy, a równocześnie wywołuje pewne refleksje.

ZAKRETY NOWOCZESNOŚCI

Przemysł włókienniczy ma to do siebie, że chyba najbardziej wrażliwy jest na różnego rodzaju „kaprysy” mody. Tak mówiąc mam na myśli nie tylko linie, kolor, rozmaite detale, na których „wyznają” się jedynie przedstawiciele piękniejszej części ludzkiego rodu, ale to co jest przecież prawdziwym fundamentem każdej galezi przemysłowej, to znaczy bazę surowcową, stosowane techniki oraz technologie.

Tak więc z całą pewnością moż-

na powiedzieć, że lata 60 stały w przemyśle włókienniczym całego świata pod znakiem chemizacji. Włókna sztuczne — ogólnie rzecz nazywając — wypierały niemal ze wszystkich pozycji surowce naturalne, przede wszystkim bawełnę oraz wełnę. W latach 1960 — 1970 rozmiary produkcji włókien chemicznych zwiększyły się.

W ZAMIERZENIACH PRZEMYSŁU LEKKIEGO NA LATA 1976 — 1980 ZNAJDUJE SIĘ M.I.N. POWAŻNE, W STOSUNKU DO INNYCH BRANŻ NAJWYŻSZE, ZWIEKSZENIE TEMPA WZROSTU PRODUKCJI WYROBÓW ODZIEŻOWYCH, DZIEWIARSKICH, JEDWABNYCH I DEKORACYJNYCH I LNIARSKICH W ROKU 1980 POWINNO NASTĄPIĆ ZRÓWNOWAŻENIE PODAŻY Z POPYTEM NA DO TEJ PORY DEFICYTOWE WYROBY DZIEWIARSKIE, PONCZO-SZNICZE I ODZIEŻOWE.

W Japonii 9-krotnie, RFN — 10, W. Brytanii — 6 i USA — 5-krotnie. W ślad za tym szły inne przemiany w sferze technologii, czego najlepszym przykładem może być niezwykle szybki wzrost produkcji dzianin metrażowych, tak że w rezultacie, w ostatnich latach, wielkość produkcji tego typu dzianin przewyższyła ilościowe wskaźniki produkcji światowej tkanin tradycyjnych — wełnianych. Inaczej było w Polsce, gdzie jeszcze w roku 1973 relacja między tymi dwoma rodzajami tkanin była jak 0,07 do 1 na niekorzyść dzianin w metrażu. Pamiętać wszakże trzeba, iż produkcję dzianin w metrażu podjęliśmy na liczącą się skalę dopiero w roku 1972.

Postawmy tutaj jednak, chyba ważne, pytanie, a mianowicie czy ta gwałtowna ekspansja chemii w tradycyjną krainę włókiennictwa miała i ma istotne uzasadnienie, czy wreszcie jest to trwała oznaka tendencji charakteryzujących nowoczesne włókiennictwo.

Można chyba powiedzieć tak, że wtargnięcie chemii do włókiennictwa było echem ogólniejszych tendencji występujących w światowym przemyśle, który zaczął korzystać gdzieś tylko było możliwe z wielce obiecującego, no i wtedy jeszcze bardzo taniego surowca, jakim była ropa naftowa i jej pochodne. Chemizacja dawała również szanse niezwykle dynamicznego rozwijania produkcji asortymentów wyrobów, będących substytutami produktów powstających z wełny naturalnej i bawełny, przy czym technologie zapewniały ogromny i niezmiernie szybki wzrost produkcji. Elementem dodatkowym, zachęcającym do chemizacji, był gwałtowny wzrost cen na surowce naturalne, „geografia” rozmieszczenia producentów i przetwórców, słowem cały kłopotliwy zjawisk ekonomicznych, a nawet politycznych.

W BIEŻĄCEJ PIĘCIOLETCE CAŁY PRZYRÓST ROZMIARÓW PRODUKCJI PRZEMYSŁU LEKKIEGO BĘDZIE WYNIKIEM WZROSTU WYDAJNOŚCI PRACY, RÓWNO-CZESNIE NOWO URUCHAMIANE ZAKŁADY BĘDĄ POTRZEBOWAŁY OK. 45 TYS. PRACOWNIKÓW.

POTRZEBA ELASTYCZNOŚCI

Obawiam się, że w tym miejscu PT Czytelnicy dojdą do wniosku, iż tak przedstawiają sytuację, mimo woli zdradzam swój negatywny stosunek do wszystkiego co związane jest z chemią w przemyśle włókienniczym, no i że za chwilę z triumfem ogłoszę koniec epoki, jak się je u nas nazywa potocznie, koszul „mon-iron” itd. Jestem daleki od tego, chociaż z drugiej strony...

Jest faktem, że od pewnego czasu obserwuje się nawrót do surowców naturalnych w przemyśle włókienniczym — do bawełny oraz wełny. Wyrazem tego są precyzyjnie wyliczone wskaźniki statystyczne, jak i rezultaty sondaży przeprowadzanych wśród użytkowników ubiorów. Došlo do tego, że na pewnych rynkach najbardziej rozwiniętych krajów, mimo wzrostu podaży wyrobów włókienniczych z naturalnych surowców, pojawiły się oznaki niezaspokojonego popytu. W roku 1973 w czołowych krajach kapitalistycznych rozmiary produkcji włókienniczej z surowców naturalnych wzrosły w stosunku do roku poprzedniego o niespełna 3 proc., natomiast import

o 35 proc. To są wskaźniki odnoszące się do wyrobów z bawełny, niemniej podobne zjawisko wystąpiło również w przypadku produkcji bawełnianej na wełnie. Towarzyszącym objawem jest zwiększające się zainteresowanie tkaninami, przetworzonymi następnie na ubiory.

W PORÓWNIANIU Z ROKIEM 1970 UDZIAŁ SUROWCÓW CHEMICZNYCH ZWIĘKSZYŁ SIĘ W:

— WŁÓKIENICTWIE — DO 55 PROC.

— OBUWNICTWIE

— I GALANTERII — DO 50 PROC. PRZEWIDUJE SIĘ, ŻE W ROKU 1980 CHEMIA BĘDZIE DOSTARCZAŁA BLISKO 60 PROC. SUROWCÓW POTRZEBNYCH POLSKIEMU PRZEMYSŁOWI LEKKIEMU.

Nie wolno, byłoby to wyrazem dużej lekkomyślności, tych zjawisk na światowych rynkach popytu na produkty włókiennicze bagatelizować. Można bowiem z dużą dozą prawdopodobieństwa powiedzieć, że po okresie absolutnej fascynacji chemią i jej produktami, znajdujemy się w okresie „relatywnej równowagi”, z wyraźnym akcentowaną jednak tendencją do powrotu na tron surowców naturalnych, jeszcze lepiej uszlachetnionych w przetwórstwie. I ten stan rzeczy należy chyba określić mianem „małżeństwa z rozsądku” między rozmiarami, asortymentem wyrobów powstających w oparciu o produkty chemiczne a tradycją — bawełną i wełną.

No, ale ten wywód nie byłby pełny, gdybyśmy pozabawili go jakiegokolwiek bardzo ogólnej refleksji, tak pro domo sua.

Otóż, można chyba powiedzieć, że aktualne tendencje w światowym włókiennictwie są generalnie biorąc sprzyjające naszej, polskiej bazie przetwórczej. Rozwijając bowiem w ostatnich latach zaniedbane dziedziny, choćby produkcję dzianin nie tylko zresztą w metrażu, rozszerzono i tak już poważną bazę wytwórczą opierającą się na tradycyjnych surowcach i technikach. Oczywiście, nie oznacza to, że i w tej dziedzinie już wszystko jest „za nami”, że w odróżnieniu od innych potentatów parających się włókiennictwem nie mamy już nic do zrobienia. Wręcz przeciwnie — nowoczesność, jak się okazuje, to nie tylko chemia, a dobry, wysokiej klasy wyrób, to też nie tylko ten, który powstał z czystego wełnianego runa, czy długich pasemek bawełny. Gdyby tak było, gdybyśmy tak zaczęli rozumować, może się okazać po pewnym czasie, że znowu jesteśmy „do tyłu”. No właśnie.

Jeśli w ten sposób udało mi się pokazać tak wysoką rangę przemysłu lekkiego w gospodarce naszego kraju, a przy okazji — wcale nie lekkie problemy lekkiego przemysłu, to cieszę się bardzo, bo co może być nam — łodzianom bliższe, jak właśnie ów przemysł, który co tu dużo mówić nie tylko w istocie stworzył to miasto, ale pełni także ważną funkcję w tym co chcemy osiągnąć w skali całego kraju, co zawiera się w pojęciu „jakości życia”.

KRZYSZTOF POGORZELEC

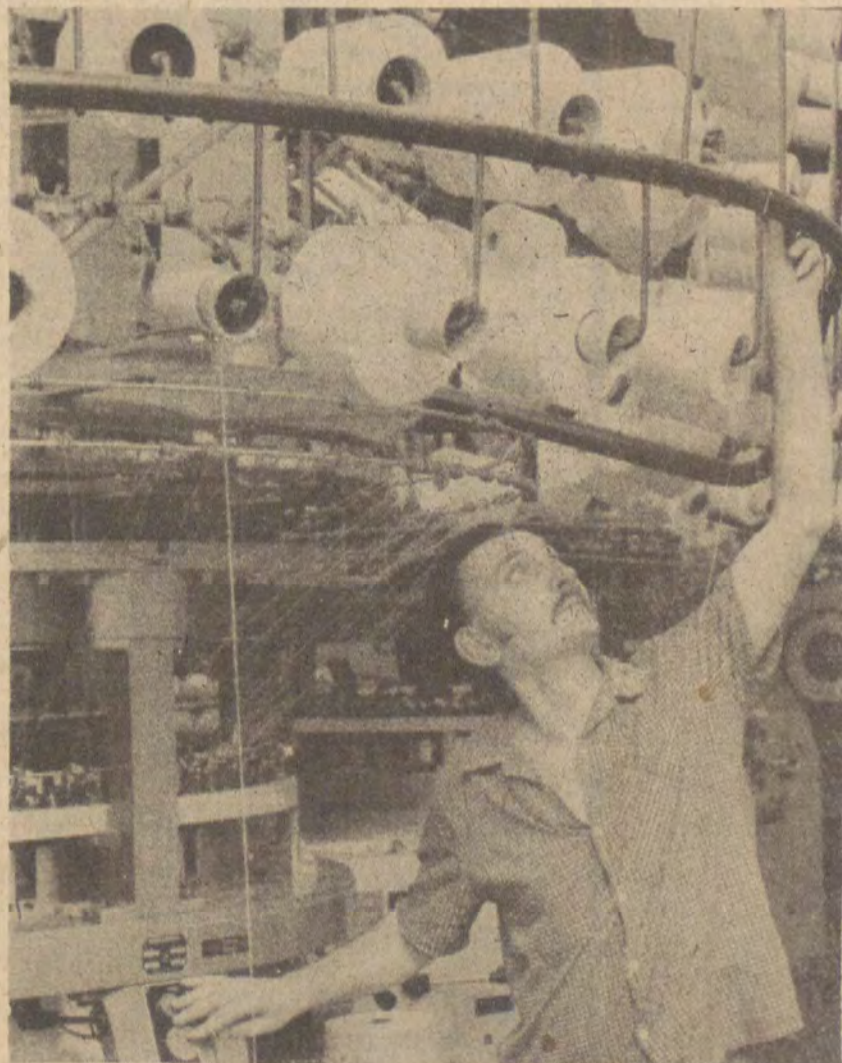


Foto: Archiwum

NIE TYLKO HISTORIA

Psychoanalityczny PORTRET ADOLFA HITLERA

Różne są drogi, którymi historiografia współczesna poszukuje dziś swojej nowoczesności. Rozszerzając horyzonty badawcze, doskonaląc swą aparaturę pojęciową, weszła ona dziś jak nigdy przedtem w ścisłe kontakty z licznymi innymi naukami. Nie są to już dziś tylko nauki społeczne, choć mają one dla historii najistotniejsze znaczenie. Nauka historyczna sięga bowiem do coraz szerszego wachlarza innych dyscyplin badawczych. Nie ominęło jej również spotkanie już nie tylko ze statystyką, bo to znane jest co najmniej od starożytności, ale i z matematyką wyższą. Współczesna historiografia różnych krajów wykazuje pod tym względem zróżnicowane preferencje. W Stanach Zjednoczonych, po części także w Niemczech Zachodnich i we Francji, znaczącym rozgłosem cieszą się badania historyczne, do których wprowadzono pojęcia i metody... psychoanalizy. Istnieje dziś modny kierunek historiograficzny, zwany psychohistorią, który interesuje coraz to szerzej kręgi badaczy.

U nas wiemy o nim stosunkowo niewiele i odnosimy się doń ze zrozumiałym krytycyzmem. Jakże może być inaczej, skoro proponuje on — podobnie jak tyle innych współczesnych awansów — poszukiwanie motywacji zachowań i działań ludzkich w czynnikach psychiczno-przyrodniczych, niezależnie od świadomości człowieka? Przecież w skrajnej postaci tego rodzaju rozumowanie prowadziło na granice nauki historycznej do nowej mitologii, takiej, w której dzieje miałyby się tłumaczyć już nie ideą, a wola Opatrzności, ale zakodowanymi w człowieku jako jednostce biologicznej niewolnymi źródłami jego czynów. Trudno się temu dziwić, że wysuwano — nie tylko u nas, zresztą — idące w tym kierunku zasadnicze zastrzeżenia do tego, co w amerykańskiej i zachodnioeuropejskiej nauce historycznej zwie się psychohistorią.

Wiekosz powołując badaczy — bo istnieje i wielu zdoła niepowodzących — uprawiających ten rodzaj studiów, nie poszukuje w nich panaceum na wszystkie niedostatki nauki historycznej. Starając się oni stosować metody psychoanalityczne do pewnych tylko rodzajów historycznej problematyki, w szczególności do studiów nad zagadnieniami przywództwa i badań nad wielkimi historycznymi postaciami — przywódcami politycznymi i wszelkiego rodzaju twórcami. Jest dziś więc sporo pras psychohistorycznych o takich ludziach, jak: Mahatma Gandhi i Józef Stalin, Teodor Herzl i Marcin Luter, Henry Ford i Isaak Newton, najwięcej zaś prawdopodobnie o... Adolfie Hitlerze. Są studia o Cezarze i Napoleonie — nawet zupełnie nieprawdopodobne — o wojnie 1812 r., w którym klęska Wielkiej Armii została w całości wyprawiona z podświadomych psychicznych zahamowań jej wodza. Kiedys wspominał już w innym felietonie o przedziwnych pracach Rudolfa Binura, który stara się on odsłukać psychoanalityczną motywację działań polityków i doprowadzić — jak się wydaje — swe poszukiwania do postaci karykaturalnej.

Albo czy wszystko, co się dzieje na obszarze psychohistorii, ma taką wspaniałą wartość? Mam przed sobą osobliwą książkę. Jest to praca Waltera L. Langer, praktykującego amerykańskiego psychoanalityka, zatytułowana: „Dusza Adolfa Hitlera. Tajny raport z czasów wojny”. Dzieło to bardzo szczegółowe: powstało w latach 1941-1943 na zlecenie Urzędu Służb Strategicznych Stanów Zjednoczonych, w szczególności zaś pułkownika, potem generała Williama J. Donovan, pośladającego na wojnę z czasów II Wojny Światowej. Władze amerykańskie uznały podówczas wojnę, że dla celów politycznych może im być przydatne posiadanie psychoanalitycznej analizy osobowości Hitlera i innych przywódców III Rzeszy, którzy dowolny się wydać na wojnę nawet sporo pieniędzy. I prace takie powstawały, wśród nich i dzieło W. Langer.

W oparciu o skrupulatnie zgromadzoną dokumentację — jednak bez możliwości osobistego dotarcia do swego „pacjenta” — psychoanalityk starał się najpierw ustalić, jakim Hitler przedstawiał się samemu sobie, jakim znał go Niemcy, ludzie z jego otoczenia i ci, którzy się z nim przynajmniej zetknęli. Na tym podstawie starał się skonstruować swego rodzaju psychoanalityczny portret Hitlera oraz — co chyba najciekawsze — w ostatniej części pracy sformułować prognozę co do jego możliwych zachowań na przyszłość. Wbrew temu, o co straszliwie oskarża psychohistoryków, W. Langer bynajmniej nie twierdził, że badane przezeń kompleksy i inne struktury psychiczne, obserwowane u Hitlera, w całości mogą wy tłumaczyć jego zachowania. Przeciwnie, otwarcie i stanowczo zastrzegł się, że nie wkłada i nie może tego uczynić, w sferę świadomych motywacji działań przywódcy III Rzeszy. Twierdził jednak, że jego osobowość wskazuje, że w jego poczynaniach mogą odgrywać istotną rolę będące przedmiotem analizy motywacje podświadome. Badanie psychoanalityczne rozumie więc W. Langer nie jako studium, zastępujące w zupełności „zwykłą” na obszarze nauk społecznych a historię w szczególności, analizę ludzkich działań jako działań świadomych, ale jedynie ją uzupełniające. Nie ma tu więc pełnej redukcji motywacji ludzkiej do podświadomości.

Najciekawsze jest jednak to, że jak podkreśla Robert G. L. Waite, który opatrzył te książki postawieniem diagnozy i prognozy W. Langer... zostały potwierdzone we wcale znacznym stopniu przez przyszłość i późniejsze badania. Przede wszystkim sprawdził się jego prognozy dotyczące śmierci Hitlera, niektóre prognozy dotyczące jego przyszłych zachowań. Potwierdziły się — i to w badaniach radiotelegraficznych — domniemania W. Langer na temat seksualnej nieumiarowatości przywódcy III Rzeszy. A to już wcale dużo. Wypada więc postawić na koniec pytanie: czy rzeczywiście, skoro psychohistoria — w tym konkretnym wypadku — zdołała być choć częściowo trafnie przewidywać, jest ona aż tak bez sensu, jak się to często mówi? Sprawa wymaga na pewno dalszej, poważnej dyskusji, do której wypadnie nam jeszcze powrócić. Nie dziwnym więc jest, że owa książka W. Langer, wydana jako na łódzkiej ulicy w 1943 r. i dostępna wówczas tylko wąskiemu gronu zachodnich przywódców politycznych, doczekała się w 1972 r. wydania przez poważną firmę Basic Books Inc., mającą swą siedzibę w Nowym Jorku i Londynie. Bo na pewno rzecz jest warta uwagi.

ANDRZEJ F. GRABSKI

MIECZYŚLAW
MICHAŁ SZARGAN

AZYL

Tu nikt nie wejdzie
Chociaż drzwi otwarte
Nosa nie wsadzi ani ręki
Bo na gałąź kwitnącą
Jestem dobrze zamknięty

Tu nawet noże mówią prawdę
Na krwawych chustach
Ale przecież piękna
Myszy otrute pełnym ziarnem
Człowieka nie przeklną
Lecz przed nim ukłęką

Tu listek na serce
I na deskę marną
Przecież chore serce
A deska trumienna —
Gałąź schyłona otwiera owoce
I rodzą wiersze kobiety brzemienne

Tu nikt nie wejdzie
Chociaż drzwi na oścież
W palcach mych olówek
Niech będzie promienny
Jak ryba jest prawdą
Na stole i w poście

Z RÓŻĄ

Na schodach po ciemku
Umarł z różą w ręku

Zdziwił się przykucał
Przeżywa śmierć ludzką

Własną ukochaną
Tak niespodziewaną

Lza na policzku sucha
Śmieje się z oka kostucha

Na ziemi dopała się gwiazda
Ręce puste gniazda

Już we wnykach siedzi
I nie ma pytania i brak odpowiedzi

Rozmyśla szuka gdzie błąd
Aż tu brzozy trąbią na Sąd

Witaj słońcem swego ciała,
Witaj ze snu, ze snu siana,

Witaj z róży którąś we śnie
We mnie ciśla a upadła
Na posadzkę prosektorium,

Witaj ze snu, ze snu siana,
Witaj słońcem swego ciała,

Różę trzymam nie umarły
Pokrwawiony z zakochania,
Tak śmiertelny jak wierzący
W nabożeństwo ramion nagłych,

Witaj słońcem swego ciała,
Witaj ze snu, ze snu ciała.

Kiedy przewróciłem ostatnią kartę — po przeczytaniu dosłownie jednym tchem — tej niepospolitej pięknej (z racji zawartości treściowej, jak i szaty edytorskiej) książki, ogarnęło mnie uczucie podziwu dla sztuki poetyckiej Mariana Piechały i kunsztu kompozycyjnego „Ognia i popiołu” (WL 1976). To dzieło niemal egzotyczne, zważywszy stan świadomości artystycznej i umiejętności artystycznych, który mają odzwierciedlać najróżniejsze prądy we współczesnej poezji. Wiadomo, że na nie zdają się wszystkie „ochy” i „achy”, jeśli nie znajdują głębszego uzasadnienia światopoglądowego. Atoż moim zamiarem jest właśnie wykazać, iż sam sposób obrazowania i wynikająca z niego konstrukcja poematu mogą być wyrazem określonej postawy filozoficzno-artystycznej, aczkolwiek tezę swoją muszę pierwszej wesprzeć rzutem retrospektywnym na dotychczasową poezję Mariana Piechały. Tak przeto ujęciu strukturalnemu przyjdzie w sukurs sondaż genetyczny.

Uwarunkowania biograficzne, takie jak miejsce i data urodzin (Łódź 1905 r.), pochodzenie społeczne (robotnicze), tradycje rodzinne i środowiskowe (socjalistyczno-niepodległościowe), w przypadku tej poezji nabierają szczególnej wymowy. Owe implikacje ogniskują istotne i bodaj najcenniejsze wartości kultury polskiej minionego stulecia, a Piechał już w zarania swej trudnej i jakże owocnej, przeszło pół wieku trwającej miłości do Kaliope, postawił sobie zadanie być wyrazicielem i twórczym kontynuatorem tej tradycji. Uświadamieniu sobie własnego miejsca w czasie i przestrzeni przyszedł z pomocą patronat intelektualny Norwida, Żeromskiego i Brzozowskiego, o czym pisał już z powodów „Miary ostatecznej” Stefan Ličkański.

Powiedzmy od razu — twórcze nawiązanie do Norwida, faktyczne a nie deklaratywne, dokonało się dopiero w zbiorach „Ogień”, „Punkt oparcia” i „Być”, kiedy oryginalna refleksja historyzująca, jeden z głównych wyróżników poezji autora „Vade-mecum”, dojrzała, tworząc jedną ze stosowanych przezeń środków stylistycznych. W dwudziestolecie międzywojennym Piechał wyraźnie obracał się w kręgu problemowo-tematycznym Żeromskiego, podejmując wątki patriotyczno-społeczne, przesycone gorzką refleksją, ku której skłaniała go ówczesna sytuacja polityczna. Pisał o wynaturzeniu życia społeczno-politycznego, o tragicznym położeniu tych, którzy walczą „za sprawę” (np. w wierszu „Żeromski”) Z kolei duch Stanisława Brzozowskiego nadawał tekstom Piechały siły wewnętrznej, kształtował osobowość twórcy:

...wszystko, co jest, co będzie i leży w możliwościach
nieopanowanych
albo, inaczej mówiąc, na pustyni
palma,
w której cieniu wędrowcy w sily
i w tej wędrowce naprzód się bogacza
i wreszcie możliwości pracy —
sama praca.

Filozofia pracy i twórczości Brzozowskiego pomogła poecie w kreowaniu lirycznego „ja”, w ciągłym przetwarzaniu własnej osobowości, polegającym na tym, że każda nowa myśl była krytyczna względem poprzedniej. Myśl „likwidatora” konstituowała i konstytuowała w dalszym ciągu owe ustawienie się twórcy wobec tego wszystkiego, co stanowi „nie-ja”, jak i wobec żywiołu tkwiącego w nim samym. Zatem dialektyka wewnętrznych przemian duchowych układa się paralelnie do dialektyki wewnętrznych metamorfóz. Świat poezji Piechały to świat wielu porządków, często podobnych i równoległych do siebie. Najlepszy z dotychczasowych wyborów wierszy poety, „Moje imperium” (WL 1976), przez to, że został podzielony na cykle problemowe, unocenia nam ową wielość analogii.

Dzieje w tej poezji zdają się dwoma torami: biologicznym i świadomościowym. Dzieje natury i dzieje kultury. Nie nakładają na siebie jednak, jak to jeszcze chcieli widzieć pozytywści, są natomiast w opozycji do siebie, choć pada często akcent na uwarunkowania biologiczne świadomości ludzkiej i na ich ciągłe przezwyciężanie (por. „Początek i progres nauki latania”). Dochodzi Piechał nieraz do

przewrotnych wniosków w celu bardziej ekspresyjnego unocnienia tragizmu i nędzy naszego istnienia, jak np. w wierszu „Roślina”. Roślina ma swoje miejsce w przyrodzie, dlatego że nie posiada świadomości, dzięki braku której nie odczuwa zagrożenia. Natomiast człowiek uzależniony jest od żywiołów przyrody, od własnego ciała i tych nieznanych, najbardziej niebezpiecznych, tkwiących w nim samym. Mammy więc do czynienia z wirtualnym światem, światem, który nie jest, ale który może zaistnieć. Im większa świadomość, tym większe zagrożenie egzystencji, im dalej posunięta autorefleksja, tym większy ból samotności i wyobcowania. Ale co raz zostało wprowadzone w ruch, zwłaszcza gdy chodzi o myśl ludzką, nie ma już powrotu. Głód poznania to

Głód, który się syć
coraz większym głodem.

Podmiot liryczny — podobnie jak u ojca woluntaryzmu Schopenhauera — istnieje na dwa sposoby: jako podmiot poznania i podmiot woli, z tą jednak różnicą, że nie człowiek jest w posiadaniu woli, a odwrotnie.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

ŚWIAT POWSZECHNEJ
ANALOGII

Wyobraźnia, wola i umysł
dalej ludzkie przenikam
jak rad —
od chaosu wszystko
co się w śpiwny nie układa tam.

Tak pisał Piechał w swym programowym wierszu „Miara ostateczna”.

I w tym zawiera się odpowiedź na pytanie: na cóż zda się woluntaryzm w wydaniu Brzozowskiego poecie? Rygor formalny oznacza panowanie poety nad żywiołem słownym i równa się wewnętrznej dyscyplinie intelektualnej twórcy, bez której nie sposób wyobrazić sobie sztuki jako formy określonej świadomości.

W 1964 roku Piechał wydał zbiór wierszy o tematyce łódzkiej pt. „Miasto nadziei”, nie najlepszy z pewnością wybór w jego dorobku poetyckim, bowiem trudno byłoby na jego podstawie odtworzyć spójną wizję artystyczno-ideową miasta poety. Mimo to — Stefania Skwarczyńska pokusiła się o wyodrębnienie specyficznych cech „łódzkiej” poezji autora „Krzyku z miasta”, pisząc o obojętności i wzruszenia lirycznego. Z kolei trzeci cykl „Moje imperium” w przytaczającej części zawiera wiersze o tej samej tematyce, pochodzące z okresu wojennego i powojennego. Ale i tu wyczuwa się pewną szczytną w kreowanym obrazie Łodzi, jako że wiersze pochodzą z trzech dziesięcioleci i wyrażają bardziej emocjonalny stosunek poety aniżeli miałyby być wykładnikiem jednorodnych i wewnętrznie spójnych przeżyć podmiotu lirycznego.

Ażeby zrealizować Eliotowski postulat korelatu obiektywnego, trzeba poematu. Oczywiście sam wybór gatunku niczego jeszcze nie rozstrzyga. Decydują predyspozycje poety. „Ogień i popiół” jest pierwszym i jedynym dotychczas w naszej literaturze utworem poetyckim o tematyce łódzkiej, którego poetyka ściśle odpowiada wizji ideowej miasta.

Poemat składa się z trzech zasadniczych części, opatrzonych tytułami: „Ulica Kilińskiego”, „Śródmieście” i „Peryferia”. Utwór spina klamra prologu i epilogu. Każda z części liczy trzydzieści strof po osiem wersów, natomiast prolog składa się z siedmiu (sześciowersowych), a epilog z trzech zwrotek. W sumie sto strof, łącznie około 800 linijek. Jak łatwo zauważyć, liczba trzy dominuje w tym rejestrze, liczba, której na przestrzeni wieków przypisywano szczególne znaczenie, łącznie z kłuczem do zagadki losu ludzkiego (np. Iona z Chios trzy pierwiastki bytu, Trójca Święta, też liczba w sztuce i architekturze gotyku, triada Heglow-ska itd.).

Obszar (przestrzeń) miasta został przeto podzielony na

trzy części. Również dzieje (czas) teje aglomeracji składają się z trzech faz rozwojowych: Łódź w okresie zaboru rosyjskiego, Łódź Polski Niepodległej i Łódź powojenna. Ilustruje to strofa lapidarnych metafor:

Miasto troiste
w kolejnych wizerach
plomba niewoli
na chorym rzebie
biełmo na oku
niepodległości
ziola proteza
w bezrębnej gębie

Zdawałoby się, iż trzeci człon tej triady ma odpowiadać klarownej syntezie, chociażby dlatego, że dialektyczne układy są filozoficznymi wyznacznikami poezji Piechały. Tymczasem rzecz ma się bardziej skomplikowanie. Otóż to, co winno być syntezą, jest czymś niewątpliwie nowym, ale jego wartość, moralna w szczególności, pozostaje w dalszym ciągu pod znakiem zapytania:

Lecz choć już stoł
ten gmach i rośnie
wciąż nowych ofiar
ziarna padają

Czytanie historii kończy się konstatacją nawiązującą do dopiętej tradycji polskiej myśli filozoficznej ubiegłego stulecia:

Wieków prowizja
głanc i pomada
czy dwa zera
na cyferblacie
szyto i kryto
mucha nie śląda

Dawna Łódź śródmiejska to mozaika wielonarodowościowa i wielowyznaniowa, konglomerat stylów architektonicznych, to całe ówczesne społeczeństwo w pełnym przekroju warstwowym. Nowobogacki przepych śródmiejska to

fasady rębne
w cyces secesji
arywistycznie
zachłameczone
jak właściciel
ich interesy

Zderzają się słowa różnej proveniencji, tak jak odmienne genealogie style spotykają się w elektrycznej architekturze pałaców fabrykantów. A ów wspaniały „cyces secesji” czy nie brzęczy (syczy?) w uchu fiskalnym interesem? Jest w tym żelazna niemal logika poetycka: obnażyć okrutną prawdę i brzydotę miasta przy pomocy słów, które nie mieściły się w tradycyjnych kano-nach piękna estetycznego, a które były ekwiwalentem językowym żywiołu kapitalistycznego ośrodka wielkomiejskiego. Odpowiednie ich spięcie wywołuje aliterację, ujawnia nowe możliwości języka poetyckiego, wyrosłego wszakże na gruncie języka kolokwialnego, jak na przykład w portrecie lodzermenscha:

lub żargonu środowiskowego:
gieldy grynderów
dintołry gangów
triangle urninów
kurkiew i gachów

I w tym szaleństwie jest metoda. Jakże odkrywcza.

Tylko znający poezję z „pierwszego słyszenia” może dopatrzyć się wpływów Broniewskiego z „Komuny Paryskiej”, jeśli chodzi o rytmikę poematu. Czujne tcho dosłyszysz, że strofy są sylabotoniczne, a mimo to różnią się od siebie zmiennym akcentem (stopą rytmiczną) w zależności od tego, co jest przedmiotem opisu i refleksji. „Ulica Kilińskiego” rozpoczyna się autobiograficzną relacją, utrzymaną w spokojnym tonie, w „Śródmieściu” rytm wzrasta (w tym rzeczowym również), intensywnie kolorystyka języka, po czym w „Peryferiach” poeta luzuje rytm, osłabia jego napięcie, zmienia, urywa, co sugeruje przeczucie się z miejsca na miejsce (opisu).

Nurtuje mnie metafora Piechały. Wiem, że operuje on oryginalną przenośnią, ale istoty jej nie potrafię jeszcze wyłożyć. Prowizorycznie i zapewne mało ściśle nazywam ją historyzującą w odróżnieniu na przykład od metafory Przybosa. Autor „Najmniej słów” przestrzeń „ściągali” elipsa, Piechał to czyni z czasem, z historią. O ile refleksja Przybosa miała charakter horyzontalny, o tyle myśl poetycka autora „Być” zdążyła wertykalnie. Sygnalizuję ów fakt, wyróżnik tej poezji, ale brak mi odpowiedniej aparatury pojęciowej dla uchwycenia sedna. Może w przyszłości muza krytyków (jeszcze jedna na Helikonie) będzie mi łaskawsza.

Analogicznie wielu różnych sfer, które tworzą zwartą wizję świata, a nawet wszechświata poety, wskazuje na gruntowne przemyslenie i zgłębnienie tajników zarówno poezji, jak i otaczającej rzeczywistości. W „Kwiatkach Polskich”, pełnych niepospolitej urody „łódzkich” ustępów (nie czytać dwuznacznie!), egzaltacja uczuć i nostalgia nie pozwoliły Tuwimowi dać konstruktywnego obrazu Łodzi, który to by określał precyzyjnie światopogląd artystyczny twórcy. Jest tam rozwichrzenie. Wyczuć języka, jego barwy brzmieniowej oraz talent to jeszcze nie wszystko. Potrzebna przeto dyscyplina intelektualna i wola racjonalizowania żywiołu w sobie i na zewnątrz oraz świadomość celu obejmującego całą gamę twórczych wysiłków człowieka. Piechał „Ogień i popiół” dowodzi, iż wszystkie te cechy posiada.

P.S. Godzi się jak najbardziej wspomnieć, iż poemat dedykowany został znakomitemu znawcy duszy książki, przewodnikowi łódzkich bibliofilów Michałowi Knie oraz jego podwładnym. Wnikliwym posłowiem opatrzyli „Ogień i popiół” Stanisław Karwowski i Henryk Pustkowsky, natomiast skrupulatnie przypisy sporządził Jerzy Poradecki. Korzystam z okazji i wnoszę małe sprostowanie: dziełem następną strofą „Peryferii” dotyczy Łodzi z czasów pierwszych, a nie drugiej wojny światowej, natomiast motyw „sady” i „zioty” to nie tylko aluzja do zadymienia miasta, lecz także do tomu wierszy Witolda Wandurskiego.

Dalszy ciąg ze str 1

lutego 1977 roku podaje, że zużycie papieru w Polsce w 1975 roku wyniosło około 42 kg na jednego mieszkańca. Jakbyśmy więc nie mierzyli, to wynika z tego niezbicie, że krajowa produkcja papieru nie zaspokaja krajowych potrzeb i trzeba papier importować. A jest to sprawa nie taka prosta.

Jeśli w 1965 roku importowaliśmy papier i tekturę za 34,9 miliona złotych, to już w 1970 roku za 107,2 miliona złotych, a w 1975 roku za 322,8 miliona złotych. Wzrost wydatków na import papieru i tektury wynikał jednakże nie tylko ze względu na rosnące ilości zakupów, ale przede wszystkim stąd, że rosnę niepomniennie ceny papieru, celulozy i tektury na rynkach światowych. Rósł wprawdzie i import, bo jeśli w 1970 roku kupiliśmy za granicą 141 tys. ton, to już w 1975 roku — 224 tys. ton, ale też i płacić w tym czasie trzeba było trzy razy tyle co poprzednio.

Rozwój wielu dziedzin gospodarki pociąga za sobą wzrost zużycia papieru. Przede wszystkim papier i tektura potrzebne są do opakowań. Im więcej produkuje się towarów wysokiej jakości, tym bardziej potrzebny jest papier lub tektura do ich opakowywania. W Polsce na wszystkie cele zużywa się około 42 kg papieru, ale już w CSRS — 63 kg, w NRD — 77 kg, a w RFN — 132 kg. Jak z tego widać Polska nie należy do krajów produkujących pod względem zużycia papieru. A pod względem produkcji?

Porównania są niestety dla nas nie bardzo korzystne. Jeśli bowiem w USA w przeliczeniu na jednego mieszkańca produkuje się 242 kg papieru i tektury, to:

w Danii — 187 kg
w Japonii — 143 kg
w RFN — 116 kg
w Francji — 96 kg
w Belgii — 87,5 kg
w Anglii — 78,9 kg
w Włoszech — 78,9 kg
w NRD — 70 kg
w CSRS — 64 kg
w Danii — 57 kg
w Polsce — 35,6 kg
w Bułgarii — 35,3 kg.

„Ani więc pod względem produkcji papieru, ani też pod względem zużycia nie należymy do światowej czołówki. Wynika to z tego, że doskonaląc różne dziedziny wytwórczości, produkcję papieru odsuwaaliśmy na dalszy plan. Dokonałismy nawet intensywniej modernizacji bazy poligraficznej, ale baza produkcji papieru pozostała daleko w tyle. Dopiero teraz trzeba będzie nadrobić zaległości. Nim się jednak to stanie, papier musi być ściślej dzielony i... oszczędzany.

Jak rozdziela się papier?

Pozornie może się wydawać, że najwięcej papieru idzie na wszelkiego typu wydawnictwa. Jest to — jednakże — wrażenie pozorne. Najwięcej bowiem papieru przeznaczają na... opakowania. Idzie na ten cel blisko 40 procent. Dopiero na drugim miejscu są wydawnictwa i to tylko podlegające Ministerstwu Kultury i Sztuki i RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Na ich potrzeby przeznaczają się niespełna 15,5 procent krajowej puli papieru. Na trzecim miejscu znajduje się produkcja... papy. Na ten cel idzie dokładnie 15 procent papieru, jaki znajduje się w dyspozycji krajowej gospodarki. Około 12,5 procent papieru otrzymują inni użytkownicy, wśród których są różne ministerstwa i instytucje prowadzące własną działalność wydawniczą, fabryki zaszytów i papieru koncelaryjnego oraz instytucje wydające różne druki i formularze.

Jeśli jednak zsumować procentowy udział różnych dziedzin gospodarki narodowej w zużyciu papieru, to okaże się, że wynosi on 83 procent. Co dzieje się z resztą, czyli z 17 procentami papieru? Część tego papieru — a jak wykazuje praktyka, niedostateczna — idzie na cele sanitarne. Z papieru — jak już wspomnieliśmy — produkuje się pieluszki, chusteczki do nosa oraz inne artykuły niezbędne w codziennym życiu. I chociaż jest to dość wysoki udział procentowy w krajowym zużyciu papieru, to według założeń programowych na lata do 1980 roku wzrost produkcji papieru wynoszący około 30 procent pójdzie przede wszystkim na zwiększenie produkcji tektury falistej i innych opakowań z papieru oraz na produkcję różnych papierowych środków sanitarnych. W tym czasie nie przewiduje się — niestety — zwiększenia ilości papieru przeznaczonego na cele wydawnicze. Tak więc ani Ministerstwo Kultury i Sztuki, ani RSW „Prasa — Książka — Ruch” nie dostaną do 1980 roku więcej papieru. Chyba, że... inni odbiorcy papieru zoszczędzą go tyle, że można będzie nadwyżki przeznaczyć na cele wydawnicze.

Wystarczy popatrzeć tylko na wielkość nakładów niektórych książek, zwrócić uwagę na nieustanny brak prasy w kioskach, aby zrozumi-

eć jak wielkie znaczenie ma oszczędzanie papieru. Niestety, to zrozumienie jest tak małe, że prawie nie istnieje. Papier jest bowiem u nas nieustannie i systematycznie marnotrawiony. Papieru nikt nie szanuje.

Tylko niektóre przykłady

Nie jestem w stanie przytoczyć wszystkich przykładów marnotrawienia papieru. Z konieczności wybieram więc tylko niektóre. Oto one: — Podróżni udający się kolejką linową na Kasprowy Wierch otrzymywali nie tylko bilet ale też miejscówkę, chociaż w kolejkę nie ma ponumerowanych miejsc.

— W gdańskim WPHW klientom reklamującym kupiony towar wystawiano odpowiedni formularz w czterech egzemplarzach, które wrę-

aktualnie kosztuje około 300 dolarów.

W NRD do produkcji stali wykorzystuje się w 70 procentach złom. Z surowców wtórnych produkuje się 60 procent wyrobów ze szkła i 40 procent wyrobów przemysłu papierniczego. W 10 procentach surowce wtórne pokrywają zapotrzebowanie na włókno przemysłu włókienniczego. Do akcji zbierania surowców wtórnych angażuje się w NRD całe społeczeństwo, chociaż użycie w tym przypadku terminu „akcja” nie jest właściwe. Nie jest to bowiem „akcja” a systematyczna praca, wyrabianie nawyku oszczędzania tego wszystkiego, co może i powinno przydać się ponownie.

IX Zjazd SED założył na cele bieżącego pięcioletnia wzrost produkcji w granicach od 6 do 6,3 procent rocznie, podczas gdy wzrost dostaw surowców wynosić będzie rocznie

ku: W I półroczu 1976 roku nastąpił wzrost o 11 procent reklamacji artykułów papierniczych i biurowych. Wartość towarów zareklamowanych wzrosła o 35 proc. Przeniesiono towarów o 74 proc. więcej w porównaniu z II półroczem 1975 roku.

Drugi. W ubiegłym roku ze względu na złą jakość papieru w drukarniach RSW „Prasa — Książka — Ruch” wystąpiło tyle zrywów papieru w czasie druku na maszynach rotacyjnych, że ze zmarnowanego papieru można byłoby wydrukować 40 milionów egzemplarzy „Trybuny Ludu”.

Trzeci. Gdyby fabryka w Ostrołęce miała rytmiczne dostawy chemikaliów i surowców, wtedy mogłaby podnieść swoją produkcję o 700 ton tektury falistej.

Czwarty. Gdyby fabryki celulozy i papieru otrzymywały drewno znacznie wcześniej, tak, aby mogło pole-

PAPIER



Foto: Archiwum

czano klientom na wieczną rzecz pamiątkę.

— Nie tak dawno w łódzkich pralniach otrzymywało się pokwitowanie wielkości arkusza formatu „A4”, chociaż uprzednio stosowano pokwitowanie o znacznie mniejszych wymiarach. Na szczęście obecnie powrócono do pokwitowań mniejszych rozmiarów.

Papierem żywi się przede wszystkim biurokracja. Wiele spraw, które można byłoby załatwić od ręki, jednym telefonem czy telexem, rozmyśla się w krzącących nieustannie pismach, jako że bez podkładki i podania nic nie można załatwić. Tu nasuwa się

refleksja natury ogólniejszej.

Spółczesność krajów wyżej rozwiniętych i bogatszych od naszego wykazuje znacznie więcej troski o tak zwane surowce wtórne, a więc o to wszystko, co już raz zużyte może się jeszcze przydać. U nas natomiast, mimo że nie dysponujemy, ani wysoką produkcją papieru, ani wysokim jego zużyciem ponownie używaniu papieru w różnych jego postaciach jest niewielkie. Na przykład Zakłady Przemysłu Skórnego ALKA w Słupsku zużywają rocznie na opakowania swoich wyrobów 900 ton kartonu i 20 ton papieru. Ale do fabryki — jak podała niedawno „Trybuna Ludu” — wraca zaledwie 10 procent kartonów. Przy czym niektóre z nich są już tak zniszczone, że nadają się tylko na... makulaturę. Dopiero teraz, kiedy w wyniku rozwoju gospodarczego kraju wzrosło zapotrzebowanie na opakowania, a nie wzrost produkcji papieru i tektury w ALCE zorientowano się, że etykiety można drukować bezpośrednio na kartonie a nie — jak do tej pory — osobno na kawałkach papieru, który naklejano na pudełko. Oszczędności z takiej praktyki są oczywiste.

Umiejętne wykorzystanie surowców krajowych i wtórnych przynosi gospodarce kolosalne korzyści. Oto przykłady:

— Gdyby skup wełny krajowej powiększyć tylko o tysiąc ton, a skupuje się obecnie jej 5,5 tys. ton, to można byłoby zmniejszyć wydatki na import wełny o 4 mln dolarów.

— Powiększenie skupu skór surowych bydłych o tysiąc ton pozwoli zmniejszyć wydatki na import skór o milion dolarów.

— Zwiększenie udziału szmat i innych odpadów włókienniczych o 1 procent tylko dałoby oszczędność 2 milionów dolarów na imporcie surowców włókienniczych.

— JEDNA TONA MAKULATURY zastępuje 0,8 tony celulozy, która

tylko 3 procent. Z tego wynika niezbicie, że założono — z jednej strony — pełniejsze wykorzystanie surowców, a — z drugiej — uzupełnienie ich surowcami wtórnymi. A więc — rzecz jasna — nie może być tu mowy o „akcji”, tylko o systematycznej, planowanej pracy.

U nas natomiast takiej pracy nie ma. U nas są — niestety — akcje. Od czasu do czasu do różnych drzwi stukają i dzwonią harcerze, którzy właśnie mają zadaną „akcję” zbierania złomu, makulatury czy butelek. „Akcje” te mają najczęściej bardzo złośliwe cele: gromadzenie funduszy na obóz, na wycieczkę, zbieranie pieniędzy na Centrum Zdrowia Dziecka. Złośliwość tych celów nie zmienia jednakże ich charakteru. Są to tylko akcje.

A skoro tak, to mogą zdarzać się też pewne wynaturzenia. Oto — jak doniosło „Życie Gospodarcze” prezes GS w Darłowie zarządził, że złom można kupować tylko zgnieleny. Jeśli więc klient GS w Darłowie ma dziurawy czajnik, to może go połuche młotkiem i zanieść do GS. Ale jeśli posiada przedmiot metalowy większych rozmiarów i kształtów, to musi sobie wynająć młot pneumatyczny, aby przy jego pomocy dokonać zgniecenia. Tylko, że wtedy koszt wynajęcia młota pneumatycznego będzie wyższy od ceny złomu.

„Gazeta Olsztyńska” natomiast zachęca do zbierania złomu następującym dwuwierszem:

„Niech się z młodych nikt nie wygima

Bo nawet stara babcia złom do skupu dźwiga”.

Przy zbieraniu makulatury pomyślność jest mniej więcej na tym samym poziomie. Specjaliści wysyłają się, aby stworzyć pewien, być może jeszcze prymitywny, system gromadzenia zużytego papieru, ale ciągle jest to praca sztywna, gdyż nie docenia jej społeczeństwo. Nasze śmietniki są ciągle wielkimi skarbcami wtórnych surowców, z którymi nie wiadomo co robić i na których zerują prywatni śmieciarze zbijający na tym wcale nieźle dochody. Tylko, że takich śmieciarzy jest mało, a śmietników bardzo dużo.

Poszukiwanie rezerw

Samo pojęcie rezerw zostało już dość dobrze zużyte, aby mogło zainteresować kogokolwiek. Ale w przypadku papieru — nie tylko zresztą — jest ono nieustannie aktualne. W tej dziedzinie tkwią ogromne rezerwy. Aby nie być gołosłownym kilka przykładów:

Pierwszy. Cytat z „Życia Gospodarczego” nr 12 z 20 marca 1977 ro-

ku: W I półroczu 1976 roku nastąpił wzrost o 11 procent reklamacji artykułów papierniczych i biurowych. Wartość towarów zareklamowanych wzrosła o 35 proc. Przeniesiono towarów o 74 proc. więcej w porównaniu z II półroczem 1975 roku.

Drugi. W ubiegłym roku ze względu na złą jakość papieru w drukarniach RSW „Prasa — Książka — Ruch” wystąpiło tyle zrywów papieru w czasie druku na maszynach rotacyjnych, że ze zmarnowanego papieru można byłoby wydrukować 40 milionów egzemplarzy „Trybuny Ludu”.

Trzeci. Gdyby fabryka w Ostrołęce miała rytmiczne dostawy chemikaliów i surowców, wtedy mogłaby podnieść swoją produkcję o 700 ton tektury falistej.

Czwarty. Gdyby fabryki celulozy i papieru otrzymywały drewno znacznie wcześniej, tak, aby mogło pole-

żyć na placach, to produkowałyby papier dużo lepszej jakości. A tak, ze względu na nierytmiczne dostawy drewna, używa się do produkcji to wszystko, co przychodzi do fabryk i odbija się to ujemnie na jakości papieru.

Piąty. Gdyby papier był właściwie transportowany i przechowywany, to straty byłyby znacznie mniejsze. Gdyby...

Zdaniem niektórych specjalistów w każdym gospodarstwie domowym w mieście marnuje się rocznie około 50 kg papieru i tektury. Jeśli więc wziąć pod uwagę, że w kraju mamy około 6 milionów gospodarstw domowych w miastach, to wystarczy dokonać prostego mnożenia, aby przekonać się, ile marnuje się makulatury. Przy okazji przypomnijmy, że każda tona makulatury to około 300 dolarów oszczędności na imporcie celulozy.

Oszczędzać papier można jednakże nie tylko poprzez jego ponowne wykorzystanie. Od niedawna przemysł młynski zaczął na przykład drukować napisy wprost na metalowych puszkach do konserw. Dzięki temu zmniejszyło się zużycie papieru.

W Centralnym Laboratorium Technicznym Wyrobów Włókienniczych opracowano technologię, dzięki której można tekturę niezbędną do wyrobu papy zastąpić... włókninami. Tego typu papy jest wytrzymałsza i bardziej elastyczna od papy produkowanej w oparciu o tekturę. Do jej produkcji można wykorzystać surowce wtórne — włókna. Przemysł lekki zamierza wybudować w Żelazowie fabrykę, która produkowałaby takie właśnie włókna. Ale potrzeba na to czasu. Fachowcy twierdzą, że już teraz — nie czekając na budowę fabryki — można w niektórych zakładach przemysłu lekkiego podjąć się produkcji włókna potrzebnych do produkcji papy. Oszczędność deficytowej tektury byłaby oczywista i wymierna.

Jak z tego widać, istnieje wiele możliwości zaoszczędzenia papieru. Są to — w wielu wypadkach — możliwości potencjalne. Trzeba zrobić wszystko, aby stały się one możliwościami rzeczywistymi, aby coraz powszechniej były wykorzystywane w codziennej praktyce. Papier od dawna towarzyszy człowiekowi i jest mu niezbędny, ale mamy tego papieru ciągle mniej niż potrzebujemy. A moglibyśmy mieć go znacznie więcej, gdybyśmy byli bardziej oszczędni, gdybyśmy umieli lepiej nim gospodarować.

Partnerstwo

Współpraca naukowców Politechniki Łódzkiej z uczonymi Związku Radzieckiego, ma już bogatą tradycję. Jednym z krajów Wydział Włókienniczy PL od ponad dwudziestu lat utrzymuje i rozwija kontakty z Moskiewskim Instytutem Tekstylnym Czerwonego Sztandaru. Dotyczy one zarówno problemów dydaktycznych, jak i naukowych.

Wymiana doświadczeń w zakresie kształcenia przynosi korzyści nie tylko dla obydwu uczelni, ale również dla gospodarki naszych krajów. Moskiewski Instytut jest bowiem największą i najstarszą radziecką szkołą wyższą przygotowującą kadry dla przemysłu lekkiego, a Wydział Włókienniczy PL jedyną jednostką w Polsce kształcącą inżynierów włókienników. Stała wymiana studentów między Politechniką Łódzką i Moskiewskim Instytutem Tekstylnym, stanowiąca ważną formę przekazywania doświadczeń, przyczynia się zarazem do zbliżenia środowisk studenckich bratnich uczelni.

Bardzo różnorodne formy przybiera współpraca naukowa. Należą do nich wzajemne wizyty wybitnych naukowców oraz stażystów przygotowujących prace doktorskie lub kandydackie, dokonywanie przekładów podręczników i publikacji naukowych, recenzowanie prac itp. Wykłady i referaty, udział w seminariach i sesjach naukowych radzieckich gości w Łódzkiej Politechnice i wzajemnie — naukowców PL w Moskwie — umożliwiają bieżącą wymianę myśli naukowej, uzgadnianie najbardziej efektywnych kierunków i metod badawczych, wykorzystywanie doświadczeń drugiej strony.

Łódzcy uczeni wysoko oceniają wkład radzieckich przyjaciół do współpracy. Dowodzi tego przynajmniej w roku 1968 byłemu rektorowi MIT, prof. G. N. KUKINOWI najwyższej godności akademickiej — tytułu doktora honoris causa Politechniki Łódzkiej.

W roku 1973 została zawarta umowa między obiema uczelniami, która przyczyniła się do wzbogacenia treści i metod współdziałania. Termin ważności porozumienia wygasa w przyszłym roku, ale już teraz Moskiewski Instytut Tekstylny wystąpił z propozycją przedłużenia umowy na dalsze lata. Wydział Włókienniczy PL jest zatem traktowany jako liczący się partner moskiewskiej uczelni, znanej z wysokiego poziomu naukowego i dydaktycznego.

Wspólne badania obejmują wiele zagadnień o podstawowym znaczeniu gospodarczym. Do takich należą prace nad usprawnieniem działania krosien pneumatycznych i przedręzek bezwzględnych, czy też nad udoskonaleniem technologii zgrzebiania, co pozwoliło w ciągu minionych dwudziestu lat aż dwudziestokrotnie zwiększyć wydajność zgrzeblarek stosowanych w przemyśle. Łódzcy i moskiewscy naukowcy objeli też badaniami krosna chwytkowe STB, produkowane przez „Wifame” i Fabrykę Krosien w Dzierżoniowie w kooperacji ze Związkiem Radzieckim. Efektem tych prac jest zwiększenie wydajności krosien i dostosowanie ich do wykorzystywanych w Polsce surowców. Z dużym uznaniem radzieckich specjalistów spotkały się łódzkie prace dotyczące fizycznej mikrostruktury włókna, trzupinalnych włókien wiskozowych i wiele innych.

Moskiewski Instytut Tekstylny jest najpoważniejszym, ale nie jedynym, radzieckim partnerem Politechniki Łódzkiej. Uczelnia współpracuje też m. in. z Leningradzkim Technicznym Instytutem Przemysłu Celulozowo-Papierniczego, Moskiewskim Instytutem Energetycznym oraz Moskiewskim Instytutem Technologiczno-Chemicznym im. Lomonosowa. Z Instytutem w Leningradzie łączy łódzka politechnika wieloletnie porozumienie, a badania dotyczące wielu istotnych dla przemysłu celulozowo-papierniczego zagadnień, jak doskonalenie technologii produkcji mas celulozowych, suszenie papieru, wykorzystywanie niekonwencjonalnych surowców — makulatury, trocin, nowych gatunków drewna.

Od 4 do 24 kwietnia 1977 r. trwają Dni Radzieckiej Nauki i Techniki w Polsce. Politechnika Łódzka zorganizowała z tej okazji szereg sesji naukowych, spotkań z uczonymi Kraju Rad, wystaw, projekcji filmowych i innych imprez, które z pewnością przyczynią się do dalszego zacieśnienia polsko-radzieckiej współpracy naukowej.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PAPAFI PATORA

BLIŻEJ SZYMANOWSKIEGO

Poza nami (29.III.) 40. rocznica śmierci twórcy „Harnasiów”. Forma uczczenia przez krajowe środowisko muzyczne pamięci tego wielkiego kompozytora, wnikliwego publicysty, rektora pierwszej w Polsce uczelni muzycznej z prawdziwego zdarzenia, były liczne koncerty monograficzne (m. in. w Zakopanem, gdzie po 39 latach odbył się ponownie występ orkiestry symfonicznej), okolicznościowe audycje w radiu i TV, artykuły w prasie. Na łódzkim gruncie włączyły się do obchodów także instytucje, jak Filharmonia, LIM, noszące imię Szymanowskiego Łódzkie Towarzystwo Muzyczne, czy PWSM. Zorganizowały one szereg wieczorów muzycznych poświęconych sławnemu Karolowi z „Atmy”, w których udział wzięli znani artyści.

Marcowe koncerty i audycje obchodzone były w dużym stopniu na doświadczenie do masowego odbiorcy, na szerokie spopularyzowanie dzieł Szymanowskiego. Wiadomo: ojciec naszej muzyki współczesnej, uważany za drugiego w kraju kompozytora po Chopinie. Swego czasu właściwie sam nadrobił widoczne od połowy XIX w. opóźnienia w dziedzinie rzemiosła kompozytorskiego, występujące w Polsce w porównaniu z wiodącymi ośrodkami. Nawracając do ważniejszych tendencji muzycznych pierwszych dziesięcioleci obecnego stulecia i w ostatecznym rezultacie — głównie dzięki zainteresowaniu się muzyką Podhala — dochodząc do stylu o wyraźnym zabarwieniu narodowym (jego własny postulat: „muzyka narodowa, lecz nie prowincjonalna”), stał się Szymanowski pełnoprawnym współtwórcą kultury europejskiej. A to już wystarczający powód, dla którego daży się, by utwory tego reprezentanta „Młodej Polski w muzyce” (i to nie tylko „Harnasie”) nie ustępowały popularnością utworom chopinowskim.

Szczególnie, że jest tu jeszcze, jak sądzę, dodatkowy aspekt przemawiający za „jaśniejszym” upowszechnieniem. Twórczość Szymanowskiego ewoluowała stylistycznie. Na skutek zmian orientacji estetycznych kompozytora jest ona bogato zróżnicowana pod względem cech języka dźwiękowego (zasadnicze fazy twórczości Szymanowskiego określa się mianem neoromantycznej, impresjonistycznej i folklorystycznej, natomiast generalnie — ze względu na silnie emocjonalny, ekstazyjny z reguły charakter wypowiedzi — zalicza się ją do nurtu ekspresjonistycznego). Pełniejszy kontakt z tą bazującą na różnych założeniach warsztatowych sztuką może być zatem dla mniej zaawansowanego słuchacza pewnego rodzaju metoda przygotowania się do rozumienia współczesnej muzyki w ogóle. „Szymanowszczyzna” staje się wówczas już nie tylko celem, lecz także środkiem poznania.

Upowszechnienie wartościowej muzyki (również XX-wiecznej) to nie jeden z problemów, które leżały na sercu Szymanowskiemu-publiście. Ubolewał on w 1930 r., że „Muzyka pozostaje wciąż uczuciową, przywrotną sprawą poszczególnych jednostek, jej cechą subiektywną, ponieważ przypadekowi, jak na przykład większa czy mniejsza wrzliwość na piękno natury czy też zamknięcie do tego czy innego sportu, cechą subiektywną, nie obowiązującą do niczego, pozostającą jak gdyby na marginesie tak zwanego „ogólnego wykształcenia”. Pisał dalej: „Czyż nie jest to w istocie objawem charakterystycznym, iż przeciętnie kulturalny i wykształcony człowiek ma zazwyczaj bodaj elementarne wiadomości z dziejów literatury i plastyki, umiając w razie potrzeby skłócić niegorsze zdanie o Buonarrotim, Sofoklesie, Szekspirze czy Velasquezie. Wiadomości te mniej lub więcej pogłębione należą już w zasadzie do obowiązkowego bagażu myślowego kulturalnej jednostki. Natomiast po cóż tu mówić o opiniach muzycznych tego typu „wykształconych” ludzi, skoro na kartach dzieł najpiękniejszych naszych pisarzy, kiedy fantazja zawiedzie ich na manowce muzyczne, roi się od analfabetycznych okropieństw...”

Wydać się, że im „bliżej” m. in. własnej muzyki Szymanowskiego tym „dalej” od krytykowanej przez niego muzycznej niewiedzy.

JANUSZ JANYST



Foto: Archiwum

CZY JEST COŚ ZŁEGO W PIĘKNOŚCI?

Dalszy ciąg ze str. 1

ujęcie. O proszę, ta sama dziewczyna po operacji. Jest uratowana. Wychyla się kompleksów i normalnie pracuje.

Wielu rzeczy dowiedziałem się podczas dwóch wizyt w Klinice Chirurgii Plastycznej Akademii Medycznej w Łodzi. I od tej pory innym całkiem okiem patrzę na to wszystko, co ktoś kiedyś nieopatrznie określił jako „chirurgiczną galanterię luksusową”. Ładna mi galanteria. A może w tym określeniu chodziło o potęgę nie tych niewiast, które proszą o usunięcie zmarszczek lub zwisającego podbródka? Ja bym nie potępiał. Dobre samopoczucie. Czy może jest coś ważniejszego? Jeśli komuś zmarszczki przeszkadzają w osiągnięciu szczęścia, to czemuż ich nie usu-

nać? Zresztą chirurgia estetyczna to jedynie drobny wycinek sprawy głównej, którą jest chirurgia plastyczna.

To jest ten problem. Kluczowy i podstawowy. W samej tylko Łodzi co roku przychodzi na świat kilkadziesiąt tysięcy noworodków z wadami rozwojowymi. To dzieci o zniekształconych nosach, uszach, bez galki ocznej, o zrośniętych palcach, innych też deformacjach upodabniających bystre i inteligentne skądinąd dzieciaki do małych potworków. A jakie są gorzej i niedole dorosłej już kobiety dotkniętej dla przykładu „zającą wargą”? Nikt nie da lepszego w tej mierze świadectwa od Knuta Hamsuna, który to zrobił w „Błogosławieństwie Ziemi”. Pamiętam. Jakbym wciąż miał przed sobą Inger, żonę Izaaka, która gdy mówiła, zawsze odwracała twarz.

Chirurgia plastyczna, kojarzy się

wielu z nosem Kleopatry i gwiazdami Hollywood. Kojarzyć zaś winna się raczej z przywracaniem „ludzkiego” wyglądu ludziom, którzy bez pomocy chirurga całe życie by cierpieć li za winy nie popełnione. Zresztą czegoż się czepląc? Czy ładna buzia aktorki jest tylko kapitalikiem, który umiejętnie puszczony w ruch zarabia już potem sam na siebie? Czy piękność nie jest darem natury, która aż się prosi by się nim cieszyć?

W łódzkiej klinice dokonuje się rocznie od 500 do 600 operacji plastycznych. Udostępniono mi dane zebrane metodą ankiety wśród 200 pacjentów, którzy urodzili się z taką czy inną deformacją twarzy. Tym ludziom postawiono pytania. — Jak układa się ich życie? Czy wrodzona wada nie utrudnia kontaktów? Odpowiedzi do optymistycznych nie należą. Są w swej wymowie zgola tragiczne. Ileż ci okaleczeń wybrzykiem natury ludzie musieli nasłuchiwać się ordynarnych i okrutnych uwag już na ławie szkolnej. Ankieta dowiodła, że jedna trzecia dotkniętych zniekształceniem twarzy w ogóle nigdzie nie pracuje. Żyje z renty inwalidzkiej. Tylko jedna piąta spośród nich zakłada rodziny. Ci ludzie wiedzą życie w samotności. Popadają w najczarniejsze przygnębienie. Izolują się od otoczenia. Są wstydlivi, małomówni, skryci i głęboko nieszczęśliwi. Są pogardzani bądź upokarzani współczesnością.

Prawie każda operacja plastyczna przywraca komuś radość życia. Lecz z urazów psychicznych. Bywa, że dla wydobycia młodej pacjentki z beznadziejnej depresji, trzeba dziewczynie zmienić nos. Tak właśnie. Bo jakby orzekł wschodni medrzec, stan duszy wprost jest zależny od stanu ciała. Ileż to razy matka znekana ciągłym upokorzeniem przychodzi do profesora i błaga o operację, bo dzieci w szkole wołają na syna „quasimodo”. Ileż to razy zjawiają się w szpitalu mężczyźni w sile wieku. Przychodzą wprost z więzienia. Chcą się pozbyć tatuażu. Bo tatuaż to sygnalizator. Mała kropka nad brwiami mówi o zorientowaniu w kierunku przestępstwa. Zabieg przeszczerzenia skóry rozstrzyga często o udanej resocjalizacji. Pomaga w zerwaniu z przestępczą przeszłością.

Gdy w Bizancjum chcieli kogoś napiętnować, obcinano mu nos. Obcięcie nosa było wówczas równoznaczne z pozbawieniem możliwości publicznego wystąpienia. Ludziom bez nosa, uszu, dzieciom, które rodzą się niepełne, oszczędzono, lub na straszliwie pokiereszowane wskutek wypadku lub ciężkiej choroby, wąską grupką łódzkich chirurgów nieświeżo nieobecnością pomocy. Ci chirurdzy pracują w warunkach, o których wolalibyśmy zamilczeć. Cóż, na zbyt wąskiej podstawie spoczywa cała łódzka szpitalnictwo. Brak przestrzeni życiowej. Stojące w koryta-

zach łóżka nikogo już nie wprowadzają w stan osłupienia. Przywykliśmy. Traktujemy to jako normalną Rachityczną szafkę, sprzęt potracający o wiek niemal ubiegły to rzecz zwykła i codzienna w profesorskich nawet gabinetach. Szpital przy ul. Kopcińskiego planowano niegdyś na 350 łóżek. Wepchnięto w nich 500. Kojeć? Coś w tym sensie. Trudno się obrócić.

— Do czasu — powiedział profesor Jan Goldstein.

Biblia, w której można znaleźć cytaty dobry na każdą okazję, przypomina, że wielu ludzi zginęło od piękności niewieściej, bo stała się pożądaną zapalną kłosa. Stary Testament ogromnie mało wykazuje szacunku dla urody ciała. To pustka, uluda, marność nad marnotrawstwami. W ten sam ton uderzają wciowe mądrości purytanów — Zmień się z kobietą dla jej piękności, to jak kupować dom dla ładnej farby. Piękność nigdy nie idzie w parze z niewinnością. Możliwe, ale wolę już Greków z ich ideałem cielesnej doskonałości człowieka od hebrajskiego polowania na grzeszność ciała i jego ułomność. Wolę już polskie przysłowia: „przy pięknie człowiek męknie”.

Profesor Jan Goldstein tłumaczył, że powodzenie operacji plastycznej zależy od instrumentów. Także od umiejętności posługiwania się nimi. A instrumenty to nie tylko skalpel. Są pięknie kosztowne. Sprowadza się je za dewizy. Oglądałem imadła, nożyczki, haczyki i wiele innych przedmiotów o zadziwiających kształtach i zdumiewającej precyzji. Widziałem nitki, wtapiane w igłę, która nie miała uszka. Te niteczki cięsnę się od włosa. Przy łączeniu naczyń krwionośnych używa się lupy bądź nawet mikroskopu.

Profesor Jan Goldstein powiedział: — do czasu. Już wiem, co miał na myśli. Kosztem miliardów złotych buduje się na Stokach gigantyczne kliniki Akademii Medycznej. Powstaje szpital jakiegoś w Łodzi jeszcze nie było. I długo nie będzie. W tym szpitalu sporo miejsca rezerwuje się dla chirurgii plastycznej. Jest już pewne, że Łódź za lat niewiele wyrośnie na jeden z najważniejszych ośrodków chirurgii korekcyjnej w krajach RWPG. Już dziś Łódź mocno się w tej dziedzinie liczy. Ten ciężar jeszcze wzrośnie. To mówi za siebie, czegoż też dowodzi.

Mysli się już poważnie o zaspokajaniu potrzeb wyższego jakby rzędu. Jedną z nich jest potrzeba piękna. W czasach, gdy Stary Testament był świętą księgą, bogobojny Jędrynia Żydów, Safona z Lesbos pisał: Co jest piękne jest dobre, a co jest dobre wnet piękne jest stanie. Piękno jest siłą, jest naszą codzienną potrzebą. Wiedź, co złego w piękności?

JAN BABIŃSKI

TEATR

MARIVAU — CZYLI O POTRZEBIE „CZYSTej WODY”

Przedzierając się przez „chaszczę” szarej, tramwajowej rzeczywistości, nieczyste zdarza nam się przysiąść na moment w „arzeńskim gaju” spokoju i pogody, aby przy zwiastującym, czystym strumieniu, w pulsującym ciszy, odetchnąć świeżym powietrzem sztuki, dającej przyjemność zapomnienia o dudniącym za nami „chaszczu”. Te możliwości oddechu, te oazy wśród jednostajnie szarej przestrzeni naszego życia — tak ulicznego jak i artystycznego — ofiarowuje nam od czasu do czasu teatr i za takie prezenty powinniśmy być mu wdzięczni. Każdy z nas odczuwa często potrzebę takich łagodnie brzmiących, w pastelowo-radosnych kolorach spektakli teatralnych, w których czas mija niepostrzeżenie, a noca, po powrocie do domu, nie męczy koszmarnych snów. I to właśnie ostatnio zapropnował Teatr Ziemi Łódzkiej, pozwalając nam na dwie godziny spocząć w cieniu „starego” Marivaux przedstawiając jego — opartą na jakże prostym i ograniczonym w ciągu setek lat schemacie przebiegającym — komedie pt. „Igraszki trafu i miłości”. Wszystko to wydaje się oczywiste i jasne, ale nie sposób uwolnić się od pytania: Czego wymaga osiemnastowieczny Marivaux od teatru drugiej połowy wieku dwudziestego? Myślę, że ogromnego szacunku i pietizmu, a to jest możliwe do osiągnięcia przede wszystkim poprzez wielką dyscyplinę aktorską i warsztatową maistrów. Z dyscypliną aktorską (poza nielicznymi wyjątkami) ogólnie w naszych teatrach nie najlepiej, a co do maistrów, to proponuję... chwile pomilczyć.

Z tego wynikające refleksje, skłoniły mnie do głębszego zastanowienia się nad spektaklem przygotowanym przez MARYNĘ BRONIEWSKĄ. Przygotowanym z rzadko spotykaną już dziś subtelnością i finezyjną dbałością o szczegóły.

Wyobrażam sobie, co działo się na małej scenie Teatru Ziemi Łódzkiej, gdyby reżyser „wpadł na pomysł”. Na szczęście „nie wpadł”, za co serdecznie dziękuję, bowiem „Igraszki trafu i miłości” muszą po prostu pozostać igraszkami teatralnymi w całym, dobrym tego słowa znaczeniu. I tak też się stało. Marivaux został ocalony, a widz, przy pomocy skromnych, a jakże precyzyjnie zastosowanych środków reżyserskich, wprowadzony do owianego dyskretnym nie nachalnym humorem salonu, gdzie na pierwszym miejscu odnajduje dawno już dziś zapomnianą elegancję. W atmosferę tę wprowadza już na samym wstępie przekorne idylliczne scenografia, pełna kolorowych kwiatów i zieleni wiosennego ogrodu, tym intensywniejszej, że na tle wielkiego, ciemnego, jednobarwnego prospektu przedstawiającego osiemnastowieczny plan Paryża. Doskonale to „rozwiązanie” JERZEGO GORAZDOWSKIEGO wprowadza nas w świat beztroski, a jednak dyskretnie przypominający tym szarym planem miasta — molocho, że za delikatnymi sztachetkami ogrodzenia jest świat zwiastujący, pełen niepokojów, nieodgadnionych „korytarzy” i niebezpieczeństw, świat, który wchłonie nas po wyjściu z teatru. Dlatego tym bardziej powinniśmy być wdzięczni Marynie Broniewskiej i zespołowi przygotowującemu pod jej kierunkiem to przedstawienie, za wprowadzenie do prawdziwego ogrodu nana Marivaux. W tym miejscu chciałbym szczególnie pochwalić więcej uwagi dwóm debiutującym w obecnym sezonie w Teatrze Ziemi Łódzkiej aktorom, a mianowicie JANINIE GRZEGORCZYK i ANNIE GRZESZCZAK (w wypadku A. Grzeszczak jest to w ogóle jej pierwszy sezon teatralny i — odpukać — zapowiadający „schody w górę”). Czytając teksty Marivaux ogarnia nas podświadomie lek, gdy pomyślimy o

konfrontacji tego koronkowo Inkrustowanego, barokowego dialogu z żywym, współczesnym człowiekiem — aktorem. To wymaga niemal „konzultacji” z umiędzielnymi i żelaznej kontroli każdego słowa, a gdy do tego dodamy jeszcze gest i sytuację, to nam pozostaje ukłonić się przed aktorami, którzy próbie poddane zostali sobie, jakiej próbie poddane zostały aktorzy. Trzeba tu jeszcze dodać, że na dobrą sprawę obie grały tu wbrew swoim naturalnym warunkom, które to warunki i kontekście „Igraszek trafu i miłości” są sprawą „wcale niebagatelną i bardzo pomocną. A jednak...”

JANINA GRZEGORCZYK w roli reżelutnej pokojówki Lizetty jest w tym przedstawieniu czymś w rodzaju źródła perłowego — jakimś nieuchwytnym dźwiękiem, który jest aktorowi dany, — nie wiem przez kogo lub co? Drobną, a pełną temperamento, tworzy kaszkade tego, co ktoś określił „uroczym wyrażeniem słownym” czyli tzw. marivaudage. A co najważniejsze, jest to aktorka świadomie „używająca” swej twarzy w każdym spojrzeniu, półuśmiechu i plastycznej wyrazistości, co w zestawieniu z niewymuszoną lekkością poruszania się na scenie i doskonałym operowaniem trudną frazą, daje znakomity efekt artystyczny.

Nieco inna, bardziej powściągliwa w środkach wyrazu, jednak niezmiernie wrażliwa na gest i sytuację jest w roli Sylwii ANNA GRZESZCZAK. Aktorka, która ma warunki ku temu, aby doprowadzić swój warsztat do doskonałości, w której wyczuwa się na pierwszy rzut oka to właśnie, co zwykło się określać dyscypliną artystyczną. Nie roni nawet jednego słowa z tego co przychodzi jej przekazać, potrafiąca doskonale utrzymywać stosowne tempo, a właściwie dramatyzację dialogu, co w wypadku Marivaux ma ogromne znaczenie.

Myślę, że te dwie młode aktorki, „walczące” ze swoimi warunkami i brakiem zawodowej rutyny, są ozdobą omawianego tu przedstawienia.

Tak się składa, że jest to sztuka napisana jakby parami. Drugą, związaną tajemniczą znowa parą tworzą Dorant i Arlekin, czyli ZBIGNIEW BIELSKI i EUZEBIUSZ OLSZEWSKI. Obsadzeni z wielkim wyczuciem ich możliwości, wpisują w przedstawienie jak gdyby różnymi stylami, a jednak po bliższym przyjrzeniu się ich grze, można

stwierdzić, że taka różnorodność służy doskonałemu Marivaux. Oba świadomie wykorzystują swoje „słabości”. — Z. Bielski swoją miękkość w podawaniu tekstu i jak gdyby pozorną nieśmiałość, zaś E. Olszewski ogromną vitalność i siłę ekspresji, która chociaż z trudem lecz konsekwentnie trzyma w rytmie przez całe przedstawienie, wprowadzając do niego doskonale wyważony element „dyskretnego rubasznostu” nie odbijając jednak od całości spektaklu, a nawet powiedziałabym bardzo momentami w nim potrzebnej.

Para trzecia — również „spiskująca” — to Orgon, ojciec Sylwii i jej brat Mario. Orgon w wykonaniu MARIANA HARASIMOWICZA, jak przystało na wyrozumiałego ojca lubieżnego jeszcze pofolgować, jest pełen ciepła i poczucia dowcipu, i w takim charakterze, nie przesadzając w stosowaniu środków aktorskich stara się utrzymać ANDRZEJ BLASZCZYK w roli Maria. Siedzący obok mnie kolega narzekał w antrakcie na brak świeżości plaćwa w Orgonowym ogrodzie, ja zaś czekałem na „petarde” w trzecim akcie. Miałem nadzieję, że wybuchnie ona („petarda”) w specjalnie na finał napisanej przez Andrzeja Jędrzejewskiego piosence. Oba docekalimy się polowicznie, — kolega wypchanego karnika w klatce, ja wyszła w postaci częściowego strip-tease'u Arlekina i jego pana. Co do piosenki, została ona niestety „zgliszczona” niezbyt starannym odświeżaniem i odniosłem wrażenie, że nie starczyło już pomysłu (a tu właśnie pomysł przydałby się) na jej ciekawie punktującą spektakl inscenizację. Trochę mi szkoda trudu autora.

To jednak nie zacięra nieodpartego odczucia, że obok sztuki docierającej do najmniejszych zakamarków duszy ludzkiej, — poruszającej najgłębsze pokłady naszej egzystencji i skomplikowane problemy współczesności, potrzeba nam od czasu do czasu zwyczajnie „czystej, źródlanej wody”.

ANDRZEJ CZERNY

Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej „Igraszki trafu i miłości” Marivaux Reż. Maryna Broniewska Scenogr. Jerzy Gorazdowski

Stefania Cynarska stała daleko od spraw, które śmierć jej męża uczyniły ponurym żerowiskiem polityki. Kończyła właśnie rozmowę telefoniczną z prezesową Czerwonego Krzyża, kiedy woźny magistracki przyniósł smutną wiadomość. Śmiertelnie ranny prezydent żył jeszcze. Dopiero o pierwszej po południu odważono się powiedzieć wdowie, że wysiłki lekarzy nie zdały się na nic. Zdecydowała od razu, że zmarły pochowany zostanie w Warszawie, w rodzinnym grobie. Stało to w sprzeczności z planami Magistratu, który chciał, aby pogrzeb odbył się w Łodzi i posłużył do zademonstrowania jedności władz miejskich połączonych ideą, której służył zmarły. Już na posiedzeniu żalobnym rady miejskiej podjęto uchwałę o wyznaczeniu wdowie po prezydencie stałej emerytury w wysokości 1000 zł miesięcznie oraz przyznano jej jednorazową zapomogę pięciokrotnie przekraczającą sumę. Słusznie przewidziano, że te dowody troski rozbroją wdowę, która rzeczywiście odstąpiła od swego pierwotnego zamiaru i zgodziła się na pochowanie męża w Łodzi.

Po pokonaniu ostatniej przeszkody komitet pogrzebowy może przystąpić nareszcie do działania. I niemal w tym samym dniu, gdy biskup Tyminiecki i prałat Wyrzykowski przygotowują się do celebrowania żalobnego nabożeństwa, panowie z Magistratu zbierają siły do kampanii propagandowej. Jej efekt psuło tylko to, że zabójca wciąż chodził po wolności, trudno więc było o przekonujące dowody, że mord dokonany został na tle politycznym. Mimo to wszystkimi możliwymi sposobami starano się to sugerować społeczeństwu. Stojąca w opozycji do chadecji prasa natchniona ujawniała te zabiegi:

„Z nadszkiem należy podkreślić, że wersja ta jest kłamliwa i obliczona na wywołanie sytuacji przedwyborczej dla różnych celów. Sp. prezydent Cynarski ostatnio stał z dala od walk partyjnych i nie ekspozował się. W żadnym stronnictwie, nawet wśród komunistów, nie miał zacietliwych wrzów. Wersje te należy zdusić w zarodku, aby nie miały atmosfery politycznej w Łodzi”.

„Ilustrowana Republika”, mimo przeszkód stawianych jej reporterom przez policję, dokonała też tymczasowego résumé wyników śledztwa. Jej zdaniem zabójca Cynarskiego był początkującym włamywaczem, który zdobył praktykę jako złodziej mieszkaniowy. O nikłym stopniu wiedzy przestępczej świadczyło to, że nie potrafił otworzyć klódki i musiał wyrwać skobel. Także posiadanie noża przemawiało za amatorszczyzną. Doświadczony kryminalista nie zabiera z sobą broni, gdyż w razie schwytania grozi mu surowsza kara. „Republika” wykluczała też motyw zemsty osobistej:

„Gdyby w rachubę wchodził moment zemsty byłby zbrodniarz uszczuplił ofertę z tytułu, a nie z przodu. Morderca nie ma nigdy pewności, że uderzenie jest śmiertelne, a w takim razie woli zawsze, aby go ofiara nie widziała. Tymczasem tutaj uderzenie nastąpiło tak zwany uderzeniem boksowym z przodu”.

Były to wszakże hipotezy. Ale w samą Wielkanoc, na dzień przed pogrzebem prezydenta, miasto zostaje zelektryzowane: morderców ujęto! Morderców, a więc już nie osamotnionego, ściganego przez wszystkich zabójcę. Dziennik „Republika” drukuje z tej okazji nadzwyczajny dodatek, następnego dnia „Express” wita przeciągający kondukt pogrzebowy nowym, nadzwyczajnym dodatkiem, opisując szczegóły akcji policyjnej. Całe miasto uczy się przy trumnie prezydenta dwu nianawistnych nazwisk: Adam Walaszczyk i Kazimierz Rydzewski. W poniedziałek od rana ludzie gromadzą się na ulicach chwaliąc sprawność policji. Inspektorzy Ferster i Niedzielski mogli więc bez wstydu zasiąść w katedrze w krzesłach przegatowanych dla notabli, gdzie po przesłuchaniu rozpoczęły się pienia żalobne. Ksiądz biskup Tyminiecki w licznej asyście duchowieństwa odprawił mszę żalobną. Potem trumnę przeniesiono na karawan zaprzężony w sześć koni i kondukt przeciągnął w dół ulicy Piotrkowskiej, aby dotrzeć do Magistratu, gdzie z nakrytej krepą trybuny przemówił wiceprezydent Wojewódzki, żegnając swego przełożonego. Na starym ementarzu katolickim długo jeszcze wygłaszano mowy, zanim orkiestra 28 pułku Strzelców Kaniowskich odegrała marsz żalobny, a towarzystwo śpiewało im. St. Moniuszki zaintonowało uroczyste pieśń „Salve regina”, przy dźwiękach której trumnę spuszczone do grobu. Rzucało się w oczy, że na ementarzu nie przemówił przedstawiciel socjalistycznej opozycji. Zbliżona do sanacji „Republika” donosiła w parę dni po pogrzebie:

„Zaczęły kraść po mieście najdziksze i najpotworniejsze pogłoski, będące obrazami mordu dokonanego na osobie sp. prezydenta Cynarskiego.

„Nie trzeba dodawać, że w obecnej chwili akcja tego rodzaju nosi wyłącznie antypaństwowe cechy. W okresie, kiedy Polska rokuje o polityczną zgraniczną, chodzi pewnym ludziom o przedstawienie jej jako kraju, gdzie morduje się ludzi ze względów partyjnych. Ta nieodpowiedzialna robota przynosi niebezpieczne wprost szkody państwu i musi być naprzeciwstawiona przez całą uczciwą opinię społeczną”.

Mimo ujęcia przez policję domniemyanych sprawców zabójstwa, zamach na prezydenta wywoływał skrajne oceny. Prasa tych wątpliwości nie potrafiła rozwiązać, ponieważ informacje o zabójstwie były ciągle skromne, chociaż rozpisano się na

KONRAD FREIDLICH

ZABÓJCA przyznaje się DO WINY

całe kolumny. Policja strzegła swych tajemnic, o czym możemy się przekonać porównując oświadczenia jej inspektorów z tym, co powiedziała mi w czterdziestu lat od tamtych wydarzeń, Stefania Walaszczyk:

Wtedy, w kwietniu 1927 roku, pamięta to dobrze, Adam, to znaczy mąż, nie wracał w Wielkim Tygodniu przez kilka nocy z rzędu. Zdarzało się to wcześniej, nawet bardzo często, toteż nie przypisywała temu zniknięciu specjalnego znaczenia. Właściwie tylko pierwszy rok małżeństwa był poprawny, kiedy mieszkali u jej rodziców, Sochów, i Walaszczyk pracował w firmie Poznańskiego. Potem został zwolniony. Na niebezpieczeństwo dostał niemal natychmiast dobrze płatną robotę przy rozładowywaniu wagonów kolejowych. Wtedy w małżeństwie nastąpił kryzys. Walaszczyk zaczął się zachowywać jak panicz, pił, miał kochanki. Z jedną pomogły Walaszczykowej zrobić porządek sąsiedki. Męża na melinie nie zastała, gdyż uciekł przez okno, kiedy rozsierdzona kobieta szturmowała drzwi. Jego przyjaciółkę wyekspediowały tą samą drogą.

Od tamtej pory nauczyły się ją bić. Okrutnie. Miał posturę boksera i chętnie korzystał ze swej przewagi. Kiedyś sprzął na kwaśne jabłko kilku mundurowych. Potem, gdy otrzymał zajęcie przy magistrackich robotach brukarskich, też poblił parę osób nie wyłączając dzielnicowego kierownika, Rosińskiego.

Wtedy, w kwietniu, przypomniała to sobie dobrze. Walaszczyk nie wrócił do domu przez dwie kolejne noce. Myślała, że chce uniknąć świątecznej głodówki, bo w domu nie było nawet chleba. Ale Adam przyszedł w samą Wielkanoc, w niedzielę nad ranem Wyglądał jak pijan, chociaż nie pocięła od niego wódki. I nie mówił, a bełkotał:

— Stefa, tutaj śmierdzi trup.

Nigdy dotąd takim go nie widziałam. Trząsał się jak galareta. Jeszcze niczego nie podejrzewała. Rozeźloną na życie, które miała od niego wraz z dziećmi, powiedziała zjadliwie:

— Sam śmierdzisz, po hulance.

Nie słyszał tego. Zalekany, nieprzytomnie powtarzał:

— Trup! Trup tutaj śmierdzi!

Mieszkali wtedy na sublokatorce u Wojciechowskiego, na Bałuckim Rynku pod płacem. Szwagier gospodarza, niejaki Znajewski, był wywiadowcą w policji. Słyszac belkot Walaszczyka, Wojciechowski pobił go szwagra. Wrócił obaj z wódką i że to były święta, zaprosili Walaszczyka do stołu. Chcieli go po-

ciągnąć za język. Ale Walaszczyk jakby nie widział stojącego przed nim kieliszka. Nie zważając na obecność wywiadowcy, niepomny konsekwencji, jakie pociąga za sobą to wyznanie, powtarzał w kółko:

— Trup! Tutaj śmierdzi trup!

— Jaki trup, panie Walaszczyk? — rozpytywał wywiadowca.

Nie dowiedział się niczego więcej, bo Walaszczyk popadł w jakiś automatyzm tracąc kontakt z otoczeniem. Ale i tego wystarczyło. Znajewski dał znak Wojciechowskiemu i gospodarz wyszedł do miasta. Niedługo potem wrócił. Ale zaraz otworzyli się drzwi i do mieszkania wszedł komisarz Weyer oraz kilku policjantów. Walaszczyk nie stawiał żadnego oporu.

Wersja policyjna mówi o wielu czynnościach operacyjnych, które doprowadziły do ujęcia zabójcy, jakby w mieszkaniu na Bałuckim Rynku zorganizowano specjalną zasadzkę Tymczasem o aresztowaniu Walaszczyka zdecydował raczej przypadek, bo denuncjator do końca nie był pewny swoich racji. Stan, w jakim się znajdował, podejrzały, świadczył o tym, że najpewniej sam

winy. Szczególnie rewelacyjne, dla scharakteryzowania stosunków w Łodzi, okazały się zeznania dwudziestocześnioletniego Walaszczyka, który szczegółowo przedstawił sejmowi śledczemu koleje swego losu. Mówił w nich o zwolnieniu go z pracy w Zakładach Towarzystwa Akcyjnego Poznańskiego, o robocie przy rozładowywaniu węgla na kolei, wreszcie o swym zatrudnieniu przy robotach brukarskich zorganizowanych przez Magistrat. To było jego ostatnie stałe zajęcie. Zwolniony z pracy we wrześniu 1926 roku nigdzie nie mógł dostać pracy. Społeczne tło zabójstwa stawało się, w świetle tych wyjaśnień, coraz bardziej wyraźne.

Adam Walaszczyk od pierwszego dnia po wyrzuceniu na bruk znalazł się bez środków do życia. Gdyby przy robotach magistrackich zatrudniony był jeszcze przez tydzień, nabyłby prawo do zasiłku dla bezrobotnych, dzięki wymaganemu przez przepisy stażowi pracy. Ten tydzień miał ogromne znaczenie, Walaszczyk żebże więc u przełożonych o litość, prosił o zatrudnienie na ten jeden fatalny tydzień, ale nigdzie nie znalazł zrozumienia. Zwolniono go przecież po to, żeby nie mógł nabyć prawa do zasiłku. Nic też dziwnego, że wszystkie wysiłki Walaszczyka rozbijają się o bezwzględność dzielnicowego kierownika robót, inżyniera Matyska. Już wtedy, opuszczony przez wszystkich Walaszczyk, ma „bardzo niedobre myśli”. Zaczają się bowiem na inżyniera z kijem, aby go pobić, ale nie udaje mu się znaleźć stosownej okazji do wyładowania swojej zemsty. Matysk dobrze zna ludzi, którymi kierował na robotach, wie, czego się po nich spodziewać i nie zamierza bynajmniej prowokować wypadków. Zniecierpliwiony Walaszczyk rezygnuje w końcu z odwetu na swym bezpośrednim krzywdzicielu, szuka teraz zrozumienia u pracodawcy, a więc u Magistratu. Wydeptując schody i korytarze szybko poznaje panujące w urzędzie zwyczaje.

Najłatwiej można się było dostać do wiceprezydenta Groszkowskiego, który przyjmował każdego, kto chciał wejść do gabinetu. Kierownik finansów miejskich chętnie pozwalał sobie na ten demokratyczny zwyczaj, dzięki któremu mógł werbować ludzi do chadecji.

Do takiego właśnie mecenasa trafił rozgoryczony Walaszczyk. Był już zwerbowany, należało do chrześcijańskiego związku zawodowego, nie przedstawiał więc dla Groszkowskiego żadnej wartości. Wiceprezydent nie mógł mu tego powiedzieć w oczy, każe więc Walaszczykowi udać się do Domu Ludowego przy ulicy Przejazd, gdzie jak powiedział, pomoże mu osobiście. Miejsce tam kierownictwo chadecji. O umówionej porze Walaszczyk na próżno czeka na swego protektora. Niestety, pan wiceprezydent jakby zapomniał o obietnicy. A nawet, zmieniając dotychczasowe zwyczaje, przez kilka dni z rzędu nie odwiedza Domu Ludowego porozumiewając się ze swym stronnictwem telefonicznie.

Głodny, wodzony za nos Walaszczyk, nie daje jednak za wygraną. Skoro każdy może wejść do Magistratu, nachodzi gabinet Groszkowskiego. Wiceprezydent tłumaczy się nawalaniem zajęć znajdując wciąż ciepłe pocieszające słówka. Ale zniecierpliwiony Walaszczyk staje się agresywny. Tego szef chadecji ma już serdecznie dość. Od tej pory nie ma go w gabinecie dla Walaszczyka. Nie przewidział jednak determinacji kłopotliwego petenta. Walaszczyk dowiaduje się prywatnego adresu Groszkowskiego i nachodzi mieszkanie przy ulicy Szkolnej, skąd za każdym razem usuwa go służba. Oszukiwany i przepędzany Walaszczyk nie ukrywa już, że zemści się za wszystko. Wiceprezydent Groszkowski nie czeka na spełnienie tej obietnicy. Korzysta z pierwszej sprzyjającej okazji i na blisko dwa tygodnie wyjeżdża z Łodzi unikając spotkania ze swym prześladowcą, bawi między innymi we Lwowie jako delegat najazd związku miast.

Pozostaje nie rozstrzygniętym pytanie, czy Groszkowski liczył, że po powrocie Walaszczyk zostawi go w spokoju, czy też poszukiwał jakichś pewniejszych środków zabezpieczenia przed swym prześladowcą? Chociaż nie ma co do tego zupełnej pewności, skłonny jestem raczej uważać, że wiceprezydent przyjął drugie wyjście. Akcja montowania świadków — alibiów przez „Kurier Łódzki” dla ratowania Kazimierza Rydzewskiego pozwala się domyślać, że jego to właśnie wiceprezydent Groszkowski wybrał do usunięcia ze swej drogi agresywnego Walaszczyka. Rydzewski cieszył się bowiem w policji zasłużoną sławą zabijaki. Groszkowski nie przewidział tylko, że ta opieka Rydzewskiego nad Walaszczykiem przyberze taki niespodziewany obrót.

Tymczasem sprawy nie układały się zbyt pomyślnie dla koalicji rządzącej w Łodzi. Już przy pierwszym przesłuchaniu podejrzanego o zabójstwo prezydenta przyznali się do

SZTUKA Z ZIEMI Arnhema

W marcu otwarto w Łódzkim Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym, wystawę pokazującą wyniki badań archeologicznej ekspedycji nauki z Czechosłowacji w Brnie do Ziemi Arnhema, na północy australijskiego kontynentu. Australia od dawna interesuje badaczy różnych dziedzin nauki. W niekulturowych cywilizacjach, zaskakujących kryje się tu wiele zagadek naukowych i reliktów przeszłości nie spotykanych na innych kontynentach. Do takich właśnie zaskakujących Ziemia Arnhema — północny przylądek Australii. Jest to obszar trzykrotnie mniejszy od Polski, na nielicznych morskich wybrzeżach porośnięty dżunglą podzwrotnikową, a w partii centralnej — stanowiący lekko sfalowaną wysoczyznę ze zgrupowaniami skał, pocięta wąwozami i miejscami pokryta buszem. Jedynym większym miastem jest port Darwin w północno-zachodniej części przylądka, a nieliczne miejscowości — mniejsze osady rządowe i misyjne — grupują się na obrzeżach Ziemi Arnhema. Jej wnętrza to kraj pierwotnych plemion, do którego kierowały się od początku XX w. wyprawy naukowe. Ekspedycja czechosłowacka (zorganizowana pod auspicjami UNESCO w 1939 r.) była byt może ostatnia, jakiej udało się jeszcze spotkać grupę tubylców żyjących w sposób tradycyjny na ziemi Arnhema. Niezmiernie szkielety Australii kryją wiele bogactw naturalnych, w coraz szybszym tempie wkracza tam cywilizacja, a tym samym zmniejszają się możliwości badawcze, przede wszystkim dla etnografów.

Zadaniem czechosłowackiej ekspedycji było zbadanie kultury jednego plemienia Rembaranga, w trzech aspektach: przeszłości „kopalnej” (odkrywanej metodą archeologiczną), teraźniejszości w stanie pierwotnej egzystencji oraz teraźniejszości w zetknięciu się z europejską cywilizacją. Czechosłowaccy uczeni mogli z bliska obserwować pierwotnych tubylców Australii i poznać dokładnie ich prymitywną kulturę, dającą się porównać z kulturą europejskiej starszej epoki kamienia sprzed kilkudziesięciu tysięcy lat. Te obserwacje poczyniono w stosownej ostatniej chwili. Gdy w 1973 z kilku członków ekspedycji ponownie odwiedziło Ziemię Arnhema, aby uzupełnić badania, głównie z zakresu sztuki — nie spotkali już wodza Mandarę i jego współpracowników na terenie ich dawnego pobytu. Tędy ten zajeżdża kopalnia uranu. Ziemia Arnhema odkryła jeszcze jedną tajemnicę związaną z jej dawnymi mieszkańcami. W środkowej i zachodniej części tego kraju napotkano całe galerie malowideł naskalnych, tworzących najbogatszy zestaw tego rodzaju sztuki na świecie. Wyjątkowość malowideł australijskich polega na ogromnej rozbieżności chronologicznej; najstarsze pochodzą sprzed około 20.000 lat, a najmłodsze malowideł żyjących współcześnie tubylców. To właśnie odkrycie wspaniałych malowideł naskalnych „fresków” oraz możliwość uzyskania od nich informacji o znaczeniu malowideł, jak również okazały przywrócić im techniczne malowania ma duże „naczenie dla badań nad sztuką społeczeństw „prymitywnych”.

Innym rodzajem sztuki są malowidła na płatach kory. Czechosłowacka ekspedycja przewiozła unikatowy zbiór tych „płóczyń”, wykonanych przez wspaniałych żyjących Rembarang, którego część pokazano na łódzkiej wystawie. Malarstwo to, zarówno naskalne jak wykonywane na korze, jest przykładem tzw. „sztuki koczowniczej”. Polega on na tym, że twórca przedstawia nie tylko to, co widzi, ale również i to, co sobie wyobraża, o czym wie, że istnieje. Malując np. rybę przedstawia także jej anatomiczne wnętrze, bo je zna, trzymając się przy tym tradycyjnego sposobu przedstawiania. Kiedy maluje „ducha deszczu”, pokazuje nie tylko zewnętrzne postacie, ale także krople deszczu przechodzące przez ich ciała, aby później mogły zrosić ziemię. Kiedy przedstawia „ducha zwierzęcia”, daje mu tradycyjną postać weza odwołania włosami i wąsami, ale jednocześnie pokazuje liczne jajejka w jego ciele, z których rodzi się wszystko, z czego składa się świat. Tio na jakim przedstawiane są postacie mitologiczne lub wyobrażenia zwierząt jest u Rembarang jednobarwne, a używane najczęściej kolory to czerwony, żółty, czarny i biały, używane z mineralnych barwników — rdzawych glin. U tych członków plemienia, którzy zamieszkali w pobliżu ośrodków rządowych i misyjnych, zaobserwowano pojawienie się nowej tematyki — własnych opowiadań twórców obojętne tradycyjnych przedstawień duchów i świata zwierzęcego.

Malowidła australijskie szokują w zestawieniu z całkowitym ubóstwem kultury materialnej ich twórców. Pozwalają wnioskować o ciekawej i skomplikowanej świat wierzeń, podań i wyobrażeń ludu, o którym — gdyby nie malowidła — niewiele moglibyśmy powiedzieć, znając jedynie nieefektywne przedmioty codziennego użytku.

Zabytki sztuki plemiennej, to najatrakcyjniejsze eksponaty wystawy. Można na niej obejrzeć kopie naskalnych malowideł m. in. ogromnego frescu ze wężem i rybak. Koło miejscowości Oenpelli w naturalnej wielkości, wiele oryginalnych malowideł na korze oraz przybory malararskie i próbki farb. Ekspozowane są także przedmioty codziennego użytku, broń, narzędzia, ozdoby, instrumenty muzyczne, pojemniki na kości ludzkie oraz maski gipsowe twarzą przedstawicieli plemienia Rembaranga. Wystawie wzbogacają dokonane „na żywo” nagrania autentycznego folkloru muzycznego australijskich tubylców.

c.d.n.

TERESA LASZCZAWSKA

„TAJNY
DETEKTYW”ZBIGNIEW
LENARTOWICZ

Rys. Janusz Szymański-Glane

Już w 1916 r. „pewien przedsiębiorca krakowski” wzorując się na podobnych wydawnictwach amerykańskich i zachodnioeuropejskich rozpoczął wydawanie opisów sensacyjnych przygód pod postacią tygodników noszących tytuły: „Sherlock Holmes”, „Jack Texas” i „Sensacja”. Były to jednak przeważnie efemerydy o małych nakładach i ubogiej szacie graficznej. „Przedsiębiorca krakowski”, którym był Marian Dąbrowski, posel na Sejm, a następnie senator, założyciel największego w Polsce przedwojennego koncernu prasowego: „Ilustrowany Kurier Codzienny” nawiązał do tamtych początków, puszczając w styczniu 1931 roku na rynek czytelniczy pierwszy numer ilustrowanego tygodnika kryminalno-sądowego „Tajny Detektyw”.

W kraju były to lata chude; kryzys światowej gospodarki kapitalistycznej przyczynił się znacznie do zubożenia społeczeństwa; bankrutowały spółki kapitalistyczne i przedsiębiorstwa; kłopoty finansowe musiał odczuwać i koncern „Ikaca”. Toteż zapewne w założeniu wydawców rolę uzdrawiającego leku miał spełnić „Tajny Detektyw” przysparzając zyski i ułatwiając znalezienie wyjścia z kłopotów finansowych.

1.

„Tajny detektyw” wychodził do końca grudnia 1934 r. w objętości 16 stron. Swój debiut rozpoczął od umieszczania, wykonanych jak na tamte czasy znakomitą techniką, fotoreportażów kryminalnych, a od 1932 roku, drukowany jako magazyn kolorowy, był sprzedawany także w Czechosłowacji.

Ten pierwszy w dziejach prasy polskiej ilustrowany tygodnik kryminalno-sądowy stawiał sobie za cel „opisywanie zasad i form prawnych wedle jakich sądzi się i karze człowieka, aby na tej podstawie uczył się i brał ostraszczy przykład (...), udostępnianie w całej pełni najszerszym masom sprawozdań ze spraw sądowych i wypadków prawnych, udzielanie pomocy władzom policyjnym w zebraniu potrzebnych materiałów śledczych służących do pochwycenia zbrodniarzy”.

„Prasa donosząc jak najszybciej o popełnieniu przestępstwa i o faktach towarzyszących zbrodni — pisał „Tajny Detektyw w nr 1 — uzbudza w ten sposób do walki z przestępstwem całą publiczność i sprowadza na głowę złoczyńcy nie tylko urzędników policyjnych lecz najszersze warstwy publiczności. Fotografii i rysopisy podejrzanych, opisy skradzionych przedmiotów, zdjęcia sfalowanych dokumentów, próby pism złoczyńców itp. podane przez gazetę dochodzą do rąk każdego obywatela i umożliwiają mu czynny udział przy śledzeniu przestępstwa”.

Czy cele te rzeczywiście spełniał „Tajny Detektyw”?

W pierwszych numerach pisma przeważały korespondencje z zagranicy. Oto tematy niektórych reportaży: „Proces upióra z Dusseldorfu

(oryginalne sprawozdanie dla „Tajnego Detektiva”), „Pamiętniki Sydney Rely (wywiadowcy), „Egzotyczne więzienia” (na Filipinach), cykl reportaży o walkach band chłopskich „bootleggerów-przemysłników alkoholu w okresie prohibicji i „rola jaka odegrała piękna tancerka Marion Stresnich, która wydała Jacka Diamonda w ręce bandy Al Capone’a”.

W miarę jak „Tajny Detektyw” wzbogacał swoją treść o problematykę krajową, przybierały nowe działy; drukowano w odcinkach powieści kryminalne, fragmenty pamiętników słynnych detektywów: Pinkertonów, Locarda, Kurnatowskiego i in. informacje z cyklu „nieprawdopodobne a jednak prawdziwe”, „drobiazgi kryminologiczne”, wprowadzono coś w rodzaju poradnictwa prawnego pt.: „Paragraf w życiu codziennym”, serwis informacji o ciekawszych wydarzeniach i ludziach walczących z przestępczością pt.: „Kto i co?” Ponadto tygodnik zamieszczał od czasu do czasu w rubryce: „Poszukujemy” zdjęcia poszukiwanych przestępców, niezidentyfikowanych ofiar zbrodni lub samobójców. Reporterzy „Tajnego Detektiva” w poszukiwaniu informacji docierali do komisariatów policji, urzędów śledczych, przysłuchiwali się ciekawym procesom sądowym w kraju i za granicą, odwiedzali osoby pokrzywdzone przestępstwem i skazanych w więzieniach. Każdy numer pisma zamykał dział humoru i rozrywek umysłowych; zamieszczano tu zadania kryminalistyczne i detektywistyczne, „których rozwiązywanie służyć będzie wyrabianiu u czytelników zmysłu orientacji i spostrzegawczości”.

Pomimo ambitnego w swoich za-

łożeniach programu angażowania sił społecznych do walki z przestępczością, już z lektury pierwszych numerów „Tajnego Detektiva” widać, że pogoń za sensacją, niesamowitością, epatowanie czytelników scenami pełnymi grozy, tak charakterystyczne dla bulwarowej prasy udzielało się również „Tajnemu Detektywowi” i określało jego funkcję społeczną.

2.

Przeglądając cztery roczniki „Tajnego Detektiva” odnosi się wrażenie, że wydawcom tygodnika chodziło nie tylko o pokonanie rywali na rynku prasowym i podreperowanie swego budżetu. Chodziło o coś więcej: o umiejętne sączenie do umysłów sanacyjnej ideologii. Tym celem służyły reportaże, artykuły i informacje o procesach działaczy lewicowych i komunistycznych, podawanie kompromitujących wiadomości o działaczach z konkurencyjnego obozu Stronnictwa Narodowego. „Tajny Detektyw” podobnie jak „IKC” i inne wydawnictwa krakowskie „pałacu prasy” nie odbiegał od ogólnie przyjętego kierunku zwalczania demokratycznych i postępowych nurtów w życiu politycznym kraju. A od takiego pisma jak „Tajny Detektyw” należało raczej oczekiwać, że będzie ono realizowało inne cele: kształtowało poglądy czytelników na przestępczość i przestępcę, zapoznawało z zachowaniem należącego umiaru i dyskrekcji z pracą organów zwalczających przestępczość pospolitą, poświęcało więcej uwagi zapobieganiu przestępstwom itp.

Za najlepszą ilustrację działalności „Tajnego Detektiva” niech posłużą tytuły reportaży tylko z jednego rocznika. Oto czemu poświęcał całe spłaty „Tajny Detektyw”: „Opowiadania o zjawach”, „W sidłach sekty satanistów (dalsze rewelacje)”, „Szaleniec czy potwór”, „Ludzie, którzy się lekają (reportaż o przesadach gwiazd teatru i X Muzy)”, „Baronowa, bizuteria, psychoanaliza i co z tego wynika (o głośnej aferze fałszerzkiej Ciunkiewiczowej)”, „Treść uzupełniała szata graficzna, której stałymi rekwizytami były trupy, odciekające krwią ręce, noże, pistolety, maski. Zbrodnie, włamania, bójki, awantury, oszustwa, rozprawy brzocho — oto atmosfera — skazywał się jeden z czytelników konkurencyjnej „Gazety Warszawskiej”, która nas otacza gdy weźmiemy do

reki pierwszy lepszy numer „Tajnego Detektiva”.

3.

„Tajny Detektyw” miał dwa oblicza: z jednej strony przemawiał w duchu poszanowania prawa, przedstawiał osiągnięcia w walce z przestępczością, popularyzował wiedzę kryminologiczną, podawał niekiedy zresztą w tamtych czasach przykłady współpracy społeczeństwa z policją w ściganiu przestępców, w postępowaniu techniki kryminalnej upatrywał nieuchronną klęskę „dla świata zbrodni i występku”; z drugiej strony deprawował umysły, wywoływał stany lęku, niepokoju, wzbudzał niezdrowe emocje, rozpalał najniższe instynkty.

Prasa opozycyjna w stosunku do koncernu krakowskiego była na alarm: w Hajnówce powstał Klub „Czarnej Reki”, którego młodociani członkowie szkolili się na materiałach zaczerpniętych z „Tajnego Detektiva”. W Warszawie dwóch młodocianych chłopców założyło korespondencyjny kurs wiedzy kryminologicznej. Dla 200 uczestników tego kursu za 10 zł wysyłano materiał instruktażowy m. in. wycinki artykułów z „Tajnego Detektiva”. Nauczyciele w szkołach przyglądali uczniowi na czytaniu tego pisma. Skutki tej lektury nie tylko odbijały się fatalnie na zachowaniu i postawach młodzieży, czasem były bardziej tragiczne. W Warszawie przy ul. Stromej — donosił „Kurier Poranny” z 11. VII. 1932 r. — popełniła samobójstwo młoda urzędniczka. W czasie dochodzenia na podstawie listu pozostawionego przez denatkę stwierdzono, że powodem tego desperackiego kroku była nie tylko groźba nędzy i bezrobocia, ale i lektura „Tajnego Detektiva”.

Można też sądzić, że bardzo często „Tajny Detektyw” oddawał niedźwiedzia przysługę urzędowi śledczym i sądom dekonspirując zarówno metody operacyjne policji jak i nazwiska wywiadowców, ujawniając wiadomości z dochodzenia lub śledztwa przed jego zakończeniem lub prowadząc „śledztwo” na własną rękę (tak było w słynnej sprawie Gorgonowej i Halasa, zabójcy z Poznania). Dość często także zdarzało się „Tajnemu Detektywowi” naruszać procesową zasadę domniemania niewinności przez publikowanie zdjęć, nazwisk osób podejrzanych, o dokonanie przestępstwa, członków ich rodzin, relacji świadków zdarzenia.

Procesy o zniesławienie i naruszenie dekretu ustawy prasowej z 1927 roku jakie z tej racji wytaczano pismu nie należały do rzadkości. Wydaje się jednak, że nie tylko te fakty zadecydowały o zaniechaniu przez

koncern „IKC” wydawania tygodnika. Ogromna fala protestów skierowana przeciwko „Tajnemu Detektywowi” jaka przetoczyła się w latach 1932—34 przez łamy prasy polskiej o najrozmaitszych odcieniach politycznych nie wyłączając nawet niektórych pism sanacyjnych, nie pozostała bez echa w społeczeństwie. Najostrzejsze było wystąpienie „Czerwonego Sztandaru”, organu zdelegalizowanej KPP, który w numerze z 28. XII. 1933 r. pisał:

„Zdradziecka burżuazja sprzymierzona z monopolistycznym kapitałem, kumająca się z faszystami Niemiec i Włoch posługuje się prasą z zamiarem zdeorganizowania i zdemobilizowania klasy robotniczej (...). Wychodzi pismo, które kładzie cienką hańbę na prasę polską, nazywa się „Tajny Detektyw”. Wydawane przez M. Dąbrowskiego szerzy ono najpodlejsze występki: mord, rabunek, bandytyzm, a wszystko po to, aby odwrócić uwagę ludu od najistotniejszych problemów chwili: kryzysu kapitalizmu i jego konsekwencji: obniżki płac, bezrobocia i nędzy”.

Na wiecach protestacyjnych Związku Nauczycielstwa Polskiego w wielu miejscowościach zapadły uchwały domagające się od władz „energicznego przeciwdziałania zgubnym skutkom tego wydawnictwa zjeżdżającego niezdrową sensacją, pornografią i trupami”. Domagano się także pozabawienia mandatu poselskiego ich wydawcy M. Dąbrowskiego, „który nie cętnał się dla dobra kłeszeni przed zmontowaniem rozgłosu, z której na całą Polskę wylewa się cuchnąca ciecz kryminalna, domu publicznego, handlu żywym towarem, przemytu, zbrodni seksualnej, narkomanii”. Zarzucano wreszcie „Tajnemu Detektywowi”, że pod płaszczykiem „dopomagania policji w tropieniu złoczyńców, tworzy nowych złoczyńców, wpływa ujemnie na młode pokolenie, godzi w szlachetne uczucia, obniża autorytet i etykę narodu”.

Kolportaż „Tajnego Detektiva” zaczęli bojkotować właściciele niektórych kiosków. Kuria Krakowska w 1934 r. przyłączyła się do tej akcji, zakazując kapłanom, z powołaniem się na prawo kanoniczne, współpracy z wydawnictwami koncernu „IKC”.

W pierwszej fazie tej interesującej lecz mało znanej batalii „IKC” bronił się jak umiał przed ciętymi swoimi przeciwników zarzucając prasie endeckiej, że nie jest pod tym względem lepsza i sama goni za sensacją. Była to jednak obrona desperacka. Wprawdzie nie są dokładnie znane kulisy zwycięstwa „Tajnego Detektiva” z publicznej areny; wiemy tylko, że najpierw w stopce redakcyjnej zniknęło nazwisko wydawcy i redaktora naczelnego Mariana Dąbrowskiego, a pojawiła się w to miejsce Spółka Akcyjna „Kuriera”. W parę miesięcy później „Tajny Detektyw” przestał wychodzić.

TELEWIZJA

FACHOWCY na szklanym EKRANIE

Przyzwyczajeni do popisów wokalno-aktorskich red. Andrzeja Zalewskiego, nie przypuszczaliśmy, że o rolnictwie można mówić tak mądrze i tak ciekawie, a jednocześnie z taką pasją. A właściwie odwrotnie, bo to przecież pasja sprawia, że dyr. Michałek z PGR Głubczyce, prawie godzinę mówi mądrze i ciekawie. Tego rodzaju programy telewizyjne ożywić i uatrakcyjnić może tylko autentyczny fachowiec, który lubi — a mo-

że nawet kocha — swoją pracę. Jestem przekonany, że nawet kompletny mieszczuch, jeśli tylko nie wyłączył telewizora przy pierwszych słowach dyrektora Michałka, wysłuchał audycji do końca.

I bardzo dobrze, bo można z niej było dowiedzieć się wiele i wiele zrozumieć, nawet jeśli sformułowania, które tam padły, były nieraz dość gorzkie. Z telewizyjnych rozmówców Dyrektora najlepiej wypadł red. Mikolajczyk, taktowny i dowcipny, naj-

gorzej zaś Profesor szkoły rolniczej, który miał pretensje dość dzikie. A to, że za dużo w PGR Głubczyce pracuje ludzi z wyższym wykształceniem, a to, że syn Profesora przebiegał śliwki w PGR, a to, że zarobki u dyrektora Michałka są dość wysokie...

Program „Wszystko za wszystko” był najlepszą, jaką można sobie wyobrazić, propagandą problemów gospodarki żywnościowej. Sprawila to osobowość Dyrektora — fachowca.

Podobnie było z programem „XYZ”, w którym wystąpił Witold Rowicki. Jeszcze raz potwierdziła się stara prawda, że fachowiec i pasjonat zainteresuje nawet laików, gdy potrafi słuchaczy przekonać o autentyczności swojej pasji. Witold Rowicki jest nie tylko wybitnym dyrygentem, ale potrafi o muzyce opowiadać w sposób pasjonujący, piękny i jednocześnie prosty. A to sztuka najtrudniejsza.

W programie Wandy Konarzewskiej o Niezidentyfikowanych Obiektach Latających, fachowców było aż czterech, nawet psychiatrę, który miał udowodnić, że te 80 tysięcy obserwacji NOL to omamy wariatów. Niestety, trzech fachowców nie potrafiło przeciwstawić się rzeczowemu pytanom czwartego — Arnolda Mostowicza. Tak więc tym razem było w programie za dużo fachowców, szkoda, że tylko jeden, właśnie Mostowicz, miał na temat NOL coś sensownego do powiedzenia.

Jeśli chodzi o muzykę rozrywkową, to w ostatnim „Studio 2” było jej sporo i reprezentowali ją na ogół autentyczni fachowcy — Twiggy, perkusista Buddy Rich, Magda Umer i Marek Grechuta. Szczególną złośliwością Telewizji było „wpuszczenie w malinę” w tym towarzystwie pani Anny Jantar.

Piosenkarka wystąpiła (z okazji

wręczenia jej trzeciej Złotej Płyty), cała w piórach, srebrkach, draperiach... Przetęczyła z uporem godnym lepszej sprawy, cały program pomagając sobie śpiewem. Popularność Anny Jantar jest swego rodzaju zjawiskiem. Ma już za sobą dwa longplaye, ale przy trzecim widać coraz wyraźniej, że osiąga poziom Isabel Vocal Group, czyli dawnego Tercetu Egzotycznego pana Dzięwatowskiego. Przyszłość przed naszą artystką rysuje się piękna: ludzie to kupią, dalsze Złote Płyty w perspektywie... Tylko jednego Annie Jantar nie wolno: występować w jednym bloku razem z fachowcami. Bawówcasz się rzeczy nasaują się porównania.

TELEMAN

U PRZYJACIOŁ



Z dużym nakładem sił i środków przygotowują się teatry NRD do obchodów 60-lecia Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Wielorakie przemiany w życiu narodów będące konsekwencją tego historycznego wydarzenia, a więc, dzień dzisiejszy społeczeństwa ZSRR, idea przyjaźni i braterstwa między narodami, stanowiąc będą przewodni motyw repertuaru, programów literacko-muzycznych, festiwali i licznych imprez estradowych.

Teatry stołeczne już żyją problematyką zbliżającej się rocznicy, o czym świadczy pobieżny chociaż przegląd premier i prapremier na tych scenach.

Na scenie „Deutsches Theater” odbyła się przed paroma tygodniami premiera sztuki Włodzimierza Tendriakowa „Noc po maturze”, szeroko zresztą dyskutowana w tutejszym środowisku, m. in. w czasie spotkań z autorem. W tym samym teatrze przewidywane jest wystawienie „Łaźni” Majakowskiego, oraz „Dzieci Słońca” Gorkiego.

Inna sztuka Gorkiego „Nocny azyl” grana będzie w teatrze im. Maksyma Gorkiego w Berlinie.

Zostanie także wystawionych szeregi sztuk pisarzy NRD, które bądź są adaptacją utworów pisarzy rosyjskich lub swoją treścią związane są z wydarzeniami, które miały miejsce w okresie walk rewolucyjnych.

Widzowie w Prenzlau zobaczą sztukę Helmuta Baiera „18 dumnych godzin” i Paula Gratzkiego „Malwa” wg opowiadania Maksyma Gorkiego. W teatrze „Młodej Gwardii” w Halle wystawiony zostanie „Strzelec gwardyjski Matrosow” Gerharda Fabiana, a na scenie teatru w Greifswalde „Salut an alle” — Marx (mbntaż sceniczny na podstawie listów Marksa i jego żony Jenny) w opracowaniu Pfeiffera i Kaltofena.

Także w ramach obchodów 60 rocznicy Rewolucji Październikowej rozszerzają się robocze kontakty między teatrami NRD i Związku Radzieckiego. W styczniu br. odbyła się premiera „Rewizora” Gogola w inscenizacji G. A. Towstosonowa z Leningradu. Sceny miejskie w Erfurcie utrzymują współpracę z teatrami Wilna. Kolektywy teatrów ZSRR zrealizują w Erfurcie „Eugeniusza Oniegina” Czajkowskiego i komedię Wampilowa „Starszy syn”, artyści erfurty natomiast odwzajemniają się wystawieniem w Wilnie „Ifigenii Goethego i „Holendra tłumacza” Wagnera.



Nowy autograf Lwa Tolstoja odnaleziony został w zbiorach Centralnego Historycznego Archiwum ZSRR w Leningradzie. Jest nim karta pocztowa wysłana do przebywającego w kijowskim więzieniu Danilla Cybulskiego, aresztowanego za rewolucyjne przekonania. Pocztówka przechodziła się w dokumentach więźnia będących w posiadaniu carskiego ministerstwa sprawiedliwości.

W ostatnich latach życia pisarza prowadzona była ścisła ewidencja całej korespondencji wychodzącej z Jasnej Polany. Wszystkie listy były kopiowane przez córki lub sekretarzy Tolstoja. Dlatego też tekst pocztówki wysłanej do Cybulskiego z października 1900 r. włączony został do pełnego wydania spuścizny literackiej autora „Wojny i Pokoju”. Jego oryginał pozostawał jednak dotąd nieznanym.

Najpilniejszym i najważniejszym problemem współczesności jest zahamowanie wyścigu zbrojeń i rozbrojenie, przede wszystkim jądrowe, trwale zażegnanie groźby wojny. Bez tego nie można stworzyć solidnych podstaw — pojawiających się w ostatnich czasach — pozytywnym tendencjom w rozwoju stosunków międzynarodowych, nie można zapewnić światu prawdziwego bezpieczeństwa.

Polityka, która preferuje groźbę użycia broni jądrowej jest niebezpieczna dla całej ludzkości. Doskonale zdają sobie z tego sprawę zdrowo myślący ludzie na zachodzie Europy, a oznaka tego jest niepokój z powodu rodmuchliwania oszczerczej kampanii wokół wyssanego z palca „wojennego zagrożenia ze strony ZSRR”. Kampania ta jest tym bardziej bezsensowna, że Kassastry z Pentagonu nie twierdzą bynajmniej, iż Związek Radziecki zamierza rozpocząć wojnę jądrową. Na niedawnych posiedzeniach informacyjnych, występując przed komisją do spraw sił zbrojnych Izby Reprezentantów, przedstawiciele ministerstwa obrony USA składali oświadczenia, że „Związek Radziecki nie zamierza napadać na Zachodnią Europę”.

Podobne kampanie kłamstwa narzekają, rzecz jasna, koniunkturę fabrykantów broni, którzy podsycają wyścig zbrojeń, działając na szkodę najbardziej żywotnych interesów narodów. Wiadomo nie od dziś, że na wszystkich decydujących etapach wyścigu zbrojeń Stany Zjednoczone zawsze robiły pierwszy krok.

Ostatnio jednak już i na zachodzie Europy rozlegają się głosy popierające pogląd, iż groźba niszczycielskiej wojny jądrowej zmniejszy się, jeśli — jak proponują to kraje socjalistyczne — 35 państw, które podpisały Akt Końcowy dokumentu w Helsinkach zobowiążą się, że nie użyją pierwsze broni jądrowej. Taki krok jest możliwy i realny.

W ostatnich miesiącach tego roku kraje socjalistyczne wystąpiły z nowymi propozycjami pokojowymi. Jednakże wojskowo-przemysłowy kompleks, oddziałujący na organa władzy w krajach kapitalistycznych oraz na środki masowej informacji, stara się wszelkimi sposobami opóźnić konsekwentną linię polityki krajów narzęgo obozu, zmierzającą do odprężenia militarne. Mimo to rośnie na świecie liczba krajów, które uznają nieodzowność uzupełnienia odprężenia politycznego — odprężeniem militarnym, nieodzowność rozbrojenia.

Oto, co pisze na ten temat komentator polityczny „France Nouvelle”, Charles Archoche: „W ciągu ostatnich trzydziestu lat zdobyliśmy ogromne doświadczenie w walce o pokój i rozbrojenie. Doświadczenie to wskazuje, iż światowe współistnienie, zahamowanie zbrojeń są osiągalnym celem, jeśli opierać się na już zawar-

NIEBEZPIECZNE MANEWRY FABRYKANTÓW ŚMIERCI

tych międzynarodowych porozumieniach”.

Jednak, za każdym razem gdy rysowuje się możliwość osiągnięcia nowego porozumienia między Wschodem i Zachodem przeciwnicy odprężenia i rozbrojenia rozwijają propagandowe kampanie, usiłując wprowadzić w błąd światową opinię publiczną. I tak właśnie zapalono zielone światło publikacjom tak zwanych „danych porównawczych i tablic o radzieckich i amerykańskich siłach zbrojnych”. Powoływano się przy tym na dokumenty, które Pentagon przedłożył Carterowi, żeby wprowadzić nowego prezydenta w dziedzinę problematyki wojskowej.

Tych właśnie dokumentów, opartych — jak wszystko na to wskazuje — nie na „tajnych” danych, lecz wziętych „z sufitu”, użył Pentagon do napadów na ludzi, którzy w administracji Cartera wypowiadali się za ograniczeniem broni strategicznych.

Robi się wszystko, żeby tylko związać ręce nowemu prezydentowi przy pomocy różnego rodzaju „problemów technicznych”, a także „osobliwości funkcjonowania amerykańskiej maszyny państwowej i przygotować warunki dla wznowienia wyścigu zbrojeń. Taktykę faktów dokonanych realizuje się za dymną zasłoną antysowieckiego przypisanego szantażem.

Znamienne, że ZSRR, w przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych, nie zwiększa swego wojskowego budżetu. W 1976 roku wydatki na cele obrony ZSRR wynosiły 7,8 proc. budżetu państwowego, a w 1977 roku wyniosły 7,2 proc. Oczywiście Związek Radziecki nie zapomina o umacnianiu swojego bezpieczeństwa i konieczności jakościowego doskonalenia swoich broni. Nie ma to jednak nic wspólnego z nieuczciwymi twierdzeniami o rzekomo „stałym narastaniu wojskowej potęgi ZSRR”. Tego rodzaju domniemanie nie mają żadnych podstaw. Tendencje dane, spreparowane przez pentagońskich ultrasów, podchwytocne następnie przez amerykańskiego generała Haiga (NATO) i wykorzystane przez belgijskiego generała w książce „Bezbronna Europa”, nie wytrzymują krytyki w konfrontacji z bezstronną analizą tychże samych zachodnich specjalistów wojskowych, którzy twierdzą, że między siłami zbrojnymi ZSRR i USA istnieje równowaga.

Prawdziwym celem, który pragną osiągnąć jastrzębie z Pentagonu jest przeszkodzenie za wszelką cenę w osiągnięciu porozumienia w Wiedniu, czy też podczas radziecko-amerykańskich rozmów na temat ofensywnych broni strategicznych. A wszystko to w okolicznościach, kiedy rysują się pomyślne perspektywy dla podjęcia konkretnych decyzji w dziedzinie odprężenia militarnego.

Pod dyktando atlantyckich strategów niejaki M. Geneste napisał artykuł, zamieszczony w styczniowym numerze półrocznika francuskiego miesiecznika „Defense Nationale”. Pod nader znamienym tytułem „Jądrowy Blitzkrieg” maluje Geneste obraz wojny jądrowej w Europie tak, jak przedstawia ją rzekomo radziecka literatura wojskowa. Autor artykułu rozumie w sposób naiwnie schematyczny: dwa wielkie mocarstwa pozwalają zachodniej Europie dostąpić „ponurego zaszczytu stania się teatrem ewentualnych działań wojennych”. Związek Radziecki dopuszcza możliwość „ograniczonego konfliktu jądrowego w rejonie, w którym my mieszkamy”. W dodatku, jak snuje swoje dywagacje Geneste, „sygnałem alarmowym będzie nie mniej ni więcej tylko... wznowienie radziecko-amerykańskich rozmów”.

Z powstałej sytuacji ów „teoretyk” wyciąga następujący wniosek: „Radzieckie zagrożenie na niebie Ameryki zmniejsza się, a na naszym niebie zagęszcza się. I dlatego trzeba mieć do swojej dyspozycji „bardzo dużą ilość własnej taktycznej broni jądrowej”.

Dziś jest zupełnie oczywiste, że wśród przeciwników odprężenia i rozbrojenia istnieje dokładny podział funkcji. Istnieje więc lobby — grupy nacisku — działające w USA w interesach fabrykantów broni oraz lobby dostarczające, jeśli można tak powiedzieć, ideologicznego surowca. W tym towarzystwie brakowało dotąd tylko przedstawiciela francuskiej burżuazji. Teraz, wraz z ukazaniem się artykułu Geneste’a w „Defense Nationale”, to „niedopatrzenie” zostało usunięte.

Bardzo charakterystyczne, iż ciężka artyleria propagandowej obróbki światowej opinii publicznej rozpoczęła huraganową kanonadę akurat w tym momencie, kiedy Związek Radziecki i inne kraje socjalistyczne zapropowały wszystkim państwom, które podpisały Akt Końcowy w Helsinkach, podjęcie wspólnych wy-

siłków w celu zobowiązania się do niestosowania przeciwko sobie broni jądrowej. Propozycja ta, zmierzająca do zahamowania wyścigu zbrojeń, została odrzucona przez Radę NATO w grudniu ub. roku. Mamy prawo zapytać tę organizację: Dlaczego zasada niestosowania siły, umieszczona w statucie ONZ i figurująca na czolowym miejscu „podpisanej akcie ogólnoeuropejskich obrad, nie powinna się stać normą postępowania w stosunkach międzynarodowych?”

Tak czy inaczej, ta lub inna droga, dochodzimy do wniosku, że jest niezbędne zawarcie oficjalnego porozumienia o niestosowaniu siły, o wyłączeniu się strategii brzemiennej w jądrową katastrofę, o wyłączeniu wojny jako środka rozwiązywania międzynarodowych sporów. Innymi słowy, dochodzimy do wniosku, iż niezbędna jest twarda walka z fabrykantami broni i teoretykami śmierci.

JERZY CZECH

ZDEMASKOWANY MIT CIA

Kiedy w lipcu 1976 roku Richard Welch przyjechał do Aten, żeby objąć kierownictwo tamtejszego ośrodka Centralnej Agencji Informacyjnej, jego zwierzchnicy z Langley (siedziba CIA w USA, Stan Virginia — red.), biorąc pod uwagę wzrost antyamerykańskich nastrojów w Grecji, a przede wszystkim szczególną wrogość ludności do CIA, polecił mu zmianę rezydencji CIA, doskonale znanej w Atenach. Welch zlekceważył zalecenie i przyjechał do Aten.

Wówczas centrala CIA postanowiła wyciągnąć z tego wydarzenia maksymalne korzyści polityczne i rozpoczęła klasyczną kampanię dezinformacyjną, skierowaną przeciwko amerykańskiemu społeczeństwu. Owcześnie łącznik CIA z prasą, A. Turner, podjął się opowiedzieć dziennikarzom w USA zmyśloną historię, że Welch padł rękoma ofiarą dziennika „Co-underspey”, wydawanego w USA przez grupę przeciwników metod i działalności CIA, ponieważ oni to „zidentyfikowali w nim pracownika Agencji wskutek czego padł ofiarą porachunków”. Turner roztępił przeciwników ostrzeżenia zwierzchników Welcha i wyznym na dziennikarzech słowo honoru, że nie ujawnia źródła informacji. Fakty te wyszły na jaw — jak informuje „Washington Post” — dopiero teraz.

Tymczasem kampania dezinformacji opinii publicznej przebiegała zgodnie z intencją CIA. Informację o śmierci Welcha, wszystkie gazety pisały o roli dziennika „Counter-spey”, jaką odegrał on w jego śmierci. I tak zabójstwo Welcha stało się częścią mitologii CIA, a wydarzenia, które nastąpiły później wskazywały, jak wielkie niebezpieczeństwo kryją w sobie możliwości organów wywiadu USA w dysponowaniu środkami masowej informacji, wykorzystywanych do okłamywania społeczeństwa w żywotnych sprawach kraju.

(C.)

OCZEKIWANIA I RZECZYWISTOŚĆ ROLA WSPÓŁCZESNEJ AFRYKI

Słowo: Władystok wszedło do stosunków radziecko-amerykańskich jako symbol uzgodnień obu państw na temat zahamowania procesu rozwoju broni strategicznych. Oczekiwano więc powszechnie, że kiedy zakończy się kampania wyborcza w USA i nowy prezydent rozpocznie międzynarodową działalność — uzgodnienia te przyjmą postać obowiązującego porozumienia. Zainteresowanie problemem rozbrojenia deklarował zresztą J. Carter wielokrotnie. Z uwagą obserwowano więc moskiewską wizytę sekretarza stanu — C. Vance, tym bardziej, że dialog na wysokim szczeblu nowej administracji z ZSRR był niezbędny, a właśnie ów temat stanowił zasadniczy punkt rozmów. W Stanach Zjednoczonych — co więcej — rozpoczęto kampanię propagandową, mającą na celu wykazanie, że Vance przedstawi w Moskwie kompletną propozycję rozbrojenia.

Tym większe jest rozczarowanie obecnie, kiedy okazało się, że te propozycje mają być... krokiem wstecz w stosunku do władystockich uzgodnień. Istota sprawy polega na tym, że USA chciałaby teraz wyłączyć z porozumienia określony rodzaj pocis-

ków, chociaż tak samo, jak rakietę balistyczną, są one nosicielami głowic jądrowych. Rzecz zrozumiała, że ZSRR nie może się na to zgodzić — i dlatego, że proponowane wyłączenie nie zmniejsza niebezpieczeństwa wojny nuklearnej i dlatego, że mogłoby naruszyć równowagę. A przecież każde zahamowanie zbrojeń czy ich redukcja muszą być ekwiwalentne po obu stronach, aby nie zachwiane zostało bezpieczeństwo.

Rozmowy C. Vance w stolicy ZSRR nie przyniosły przeto poza zapowiedzią kolejnego spotkania z min. Gromyko w maju w Genewie oraz wymianą poglądów i poznaniem stanowiska nowej administracji amerykańskiej na problem zbrojeń.

Vance po powrocie powiedział kongresmenom, że zapoczątkowany został proces negocjacyjny, który będzie rychło kontynuowany. Czy stwierdzenie: zapoczątkowany jest tutaj właściwie? Sądzić raczej należało, że za ów początek administracja Cartera uzna konkretne zobowiązania, jakie wzięła na siebie strona amerykańska we Władystoku. Zmiana ekipy kierowniczej nie może przecież przekreślać wiarygodności podpisu prezydenta niezależnie od tego, czy nazy-

wa się Ford, czy też Carter. W przeciwnym przypadku trudno byłoby mówić o stabilności — w stosunkach międzynarodowych.

Jak niejednokrotnie pisaliśmy, w październiku wygasa dotychczasowe porozumienie radziecko-amerykańskie na temat broni strategicznych i powinno je zastąpić nowe, rozszerzone. W oficjalnych kołach USA panuje przekonanie, że do niego dojdzie. Chcemy w to wierzyć, ale podkreślić musimy, iż kluczem do porozumienia jest teraz w rękach amerykańskich. Przecież nie ZSRR, a Stany Zjednoczone próbują wycofać się częściowo z tego, o czym mówiono i do uzgodniono we Władystoku. Powrót do tamtych zasad pozwoliłby intensyfikować prace nad ostatecznym kształtem porozumienia. Im szybciej to nastąpi — tym lepiej dla stosunków radziecko-amerykańskich i światowego pokoju. Wiele problemów czeka jeszcze na uregulowanie.

Aby nie pozostawić wrażenia u Czytelników, że w czasie moskiewskich rozmów tematem wzajemnego zainteresowania było tylko rozbrojenie — wymienimy następne zagadnienie, którym poświęcono uwagę. Są to: stosunki dwustronne, sytuacja na Bliskim Wschodzie, w południowej Afryce i na Cyprze, przygotowania do spotkania belgradzkiego i realizacja czterostronnego porozumienia w sprawie Berlina zachodniego.

Nawijając do stosunków dwustronnych i L. Breżniew i A. Gromy-

ko podkreślali jednoznacznie, że ZSRR pragnie by miały one charakter równoprawnych i przyjacielskich. Związek Radziecki gotów jest w tym celu przebyć swoją część drogi.

I jeszcze nieco o innej moskiewskiej wizycie — Fidelu Castro. Jak odnotowały agencje — towarzyszyła jej atmosfera niezwykle serdeczności. Szef partii i państwa kubańskiego przybył do Moskwy po miesięcznej podróży po krajach czarnej Afryki, co sugeruje komentatorom myśl, iż właśnie afrykańskie problemy były zasadniczym tematem rozmów z przywódcami radzieckimi.

Przypomnijmy, że nieco wcześniej powrócił z Afryki Nikołaj Podgorny, który kolejno odwiedził Tanzanię, Zambię, Mozambik i Somali.

Agencje zachodnie podkreślają, iż w czasie obu wizyt Związek Radziecki i Kuba szczególnie mocno akcentowały swe poparcie dla ruchów narodowowyzwoleńczych na tym kontynencie.

Współczesna Afryka wnosi wielki wkład w walkę o odprężenie międzynarodowe, a stanowisko wielu państw tego kontynentu jest bardzo zbliżone z naszym w najistotniejszych problemach: konieczności utrwalenia pokoju na świecie. Co więcej — niektóre z nich wchodzi na drogę przeobrażeń socjalistycznych.

W. SŁAWSKI

JESZCZE
POCZEKAJMY

Na wstępie mam dla Czytelników małą zagadkę. Proszę odgadnąć autora tej oto wypowiedzi:

„Niejednokrotnie usiłowałem wpłynąć na mnie w kierunku podjęcia takich czy innych decyzji personalnych. Byłem cierpliwy, wysłuchiwałem przedstawiane racje, ale ostateczne decyzje podejmowałem kierując się wyłącznie moją własną koncepcją gry reprezentacji... Mówiłem wtedy, że dla mnie nie są ważne nazwiska, a jedynie przydatność danego zawodnika do realizacji wyznaczonych przeze mnie celów — dla niego i jego kolegów. Ktoś może być na przykład bardzo dobry w swoim klubie, cieszyć się aktualnie doskonałą opinią w rozgrywkach ligowych, a mnie nie pasuje w danym zestawieniu kadrowym. Tymczasem inny piłkarz, znacznie mniej sławny bardziej mi w tym momencie odpowiada, ponieważ jest lepiej zgrany ze swoimi partnerami...”

Czy ktoś już wie, kto jest autorem tej wypowiedzi? Jeśli tak, to bardzo się cieszę, ale i przykro mi bardzo, że nie mogę przyznać za prawidłową odpowiedź żadnej nagrody. Jeśli nie, to podpowiem. Autorem jest Kazimierz Górski.

Ten cytat przypomniał mi się, kiedy oglądałem w telewizji drugą połowę meczu między Polską A i Rumunią B, jaki odbył się 6 kwietnia 1977 roku na stadionie w Płocku. W tym czasie w Rumunii Polska B grała z Rumunią A, a Polska i Rumunia przygotowała się do swoich eliminacyjnych rozgrywek w Mistrzostwach Świata, a więc i dla jednej i dla drugiej strony były to mecze treningowe. Był to sprawdzian, który więcej dał do myślenia trenerom niż widzom. Przypomnę tylko, że Polacy w sumie strzelili 3 bramki, dwie w Polsce i jedną w Rumunii, a Rumuni 2 bramki i obie u siebie. Lepiej okazały się zespoły A, co można było z góry przewidzieć, ale co nie też nie znaczy.

Wprawdzie Andrzej Zydorowicz — relacjonujący spotkanie w Płocku — usiłował zastanawiać się nad koncepcjami Jacka Gmocha na spotkanie z Duńczykami, które może być spotkaniem rozstrzygającym w naszej grupie eliminacyjnej, ale wcale nie jestem przekonany, czy koncepcje Andrzeja Zydorowicza pokrywają się z koncepcjami Jacka Gmocha i byłabym bardzo zdziwiona, gdyby tak było. Wśród ilustrowanych tysięcy kibiców pilki nożnej można byłoby znaleźć kilka tysięcy albo i więcej różnych koncepcji, ale wniosek z tego tylko taki, że są wśród kibiców ludzie myślicy. Należy się z tego tylko cieszyć, bo ludzi myślących nam potrzeba, ale dla spotkania Polski z Danią nie z tego nie wynika. Rezultat tego spotkania będzie bowiem zależał zarówno od pomysłowości trenera zespołu polskiego, jak i duńskiego oraz od umiejętności myślenia i grania piłkarzy obu drużyn.

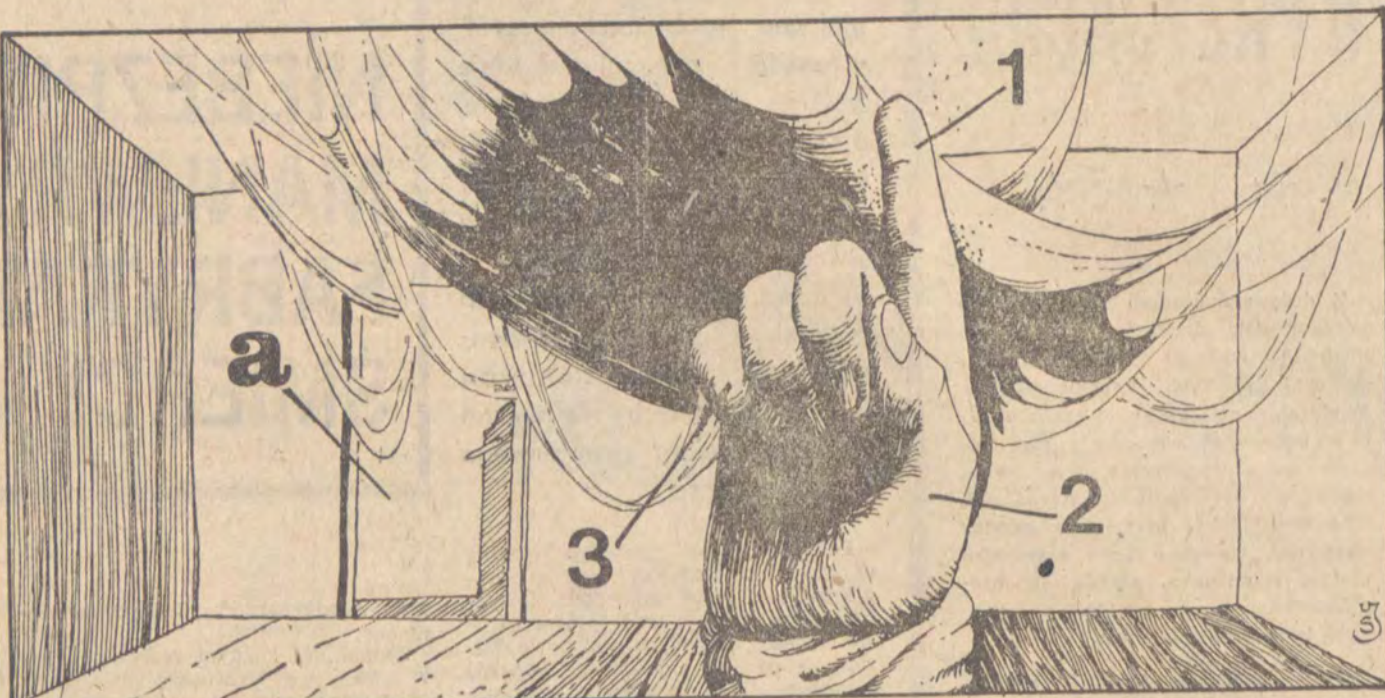
Oglądając spotkanie w Płocku przypomniał mi się Kazimierz Górski nie dlatego, że też tam robił mecze sparingowe, ale dlatego, że bardzo go po tych meczach krytykowano. Sama to zresztą robiłam. Długo też już nie robię, ale nie dlatego, że Kazimierz Górski trenuje w Atenach, ale dlatego, że ze spotkań sparingowych wniosek powinien wyciągać tylko trener i jego ekipa. Poza tym widzowie oglądający takie spotkania nie wiedzą, jakie zadania przydzielił piłkarzom trener i mogą je oceniać zupełnie błędnie. Andrzej Zydorowicz na przykład zakończył swoje sprawozdanie zdaniem, głoszącym, że krystalizuje się reprezentacja, a Jan Ciszewski zaraz ten pogląd podważył, wstrzymując się jednak od szczegółowego komentowania.

Do spotkania z Duńczykami czasu pozostało nie tak znów wiele, a my wiemy, że nie wiemy o naszej drużynie. Dobrze to, czy źle? Jan Ciszewski miał tylko nadzieję, że skoro przed Mistrzostwami Świata z 1974 roku Polacy trenowali w Płocku i „wytrenowali” srebrny medal, a wiadomo, że historia lubi się powtarzać, to może nie będzie tak źle. Przekonamy się o tym 1 maja w Kopenhadze, bo chyba i kontrolne spotkanie z Węgrami i Irlandia nie wyklucza nam wadliwości. Byłoby absolutnym nieporozumieniem, gdyby Polacy w spotkaniach kontrolnych grali pełną parą i pokazywali przeciwnikom swoje walory.

We współczesnych grach zespołowych coraz większą rolę odgrywa trener i jego umiejętności wynajdywania takich sposobów, które zaskoczyłyby przeciwnika. Jeśli dziś popatrzyć z perspektywy czasu na spotkanie wrocławskiego Śląska z drużyną z Neapolu, to Włosi znaleźli skuteczny sposób na wrocławian, czego nie można powiedzieć o zespole Śląska i jego trenerze. Kilowanie na przykład — sądząc po pokazanej przez TVP drugiej połowie meczu pucharowego Dynama z Borusią — znacznie uowocześcił swoją grę i mimo tego, że utracił w tym momencie kilka technik i robił błędy, wyszedł ze spotkania jako zwycięzca.

Historia byle może lubi się powtarzać, ale też nie lubi stać w miejscu. Od naszej reprezentacji oczekujemy nie tylko strzelonych bramek, ale i ciaglego postępu. Startuje ona już dziś z innego poziomu i inne cele ma do osiągnięcia. Czy temu podoba?

BOGDA MADEJ

WACKAW BILIŃSKI
WRÓCIĆ
DO SIEBIE

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Kilometr za ostatnim domostwem, jak w parku pełnym starych pięknych drzew, za niskim murem, lśniły w czerwonym blasku wschodzącego słońca nagrobki. I Łoś podjął decyzję.

— Stańmy — powiedział. Gdy Łanowiecki wykonał rozkaz, zeskoczył pierwszy na wilgotny asfalt. — Wyśiadać! Tylko szybko! Niech pan się zajmie Januszem.

Brama cmentarna była szeroko otwarta, weszli na wyspianą płaskim główną aleję. Mrok i wilgoć. Łanowiecki poczuł, że go mrozi, może od tego gorzkiego zapachu ziemi, woli tu. Łoś deptał mu po piętach, posapując astmatycznie. — Skróćmy w lewo — rozkazywał coraz bardziej ochrypłym głosem. — I niech pan go z łaski swojej posadzi pod tym aniołem.

Nagrobek z aniołem żałobnikiem był dość wysoki, otoczony ciężkim spłowym łańcuchem, płyta z czerwonego bazaltu wyglądała jak zbroczona krwią.

— Niech pan go na niej położy — dyrygował Łoś. Łanowiecki wykonał i ten rozkaz. Oczy Janusza były nieprzytomne. Łoś pochylił się nad chłopcem. Ranny poruszył parę razy wargami, dobył z siebie nieartykułowany jęk.

— Nie się nie bój, mój drogi — pocieszał go Łoś. — I do Łanowieckiego: — Proszę się odwrócić.

Łanowiecki stał osłepiony słońcem, wielka pomarańcza widziała w szczybie szpalery drzew z wolną pęczniała nad linią horyzontu. Obrzydliwe uczucie dawało w gardle. Ostatni mój wschód słońca? Wszystko teraz zaczęło się dziać jakby poza zwykłym rytmem czasu. Czy strach miał władzę i nad jego upływem? Janusz, odzyskawszy na moment przytomność, zakrzyknął: — Nie, nie, nie! — a potem zaczął skowycieć i nie był to ludzki głos, a jękliwe zwierzęce wycie. Stridor! I zaraz „adi straż”, głośne, płaskie kłaniecie w dłoń, dźwięk, jak koła na wodzie po rzuceniu kamienia, uciekanie coraz dalej w gąszcz nagrobków i drzew. Łanowiecki nie panując nad strachem szarpnął się i odwrócił. Łoś już oburącz mierzył mu w pierś z rewolweru.

— Idziemy! — Proszę się nie ociać — powiedział bardzo cicho.

Do willysa wsiadł pierwszy, luźną pistoletu nakazywał pospiesz. Łanowiecki opadł na fotel za kierownicą. Było mu niedobrze od zapachu krwi, tyle jej pozostało na ceracie tylnego siedzenia, na rękach, na marynarce. Łoś siedział sztywno i z twarzą boleśnie wykrzywioną ścisnął w prawej ręce pistolet, a lewą przytrzymał na kolanach kasę. Usadowił się półzwrócony do szofera.

— No, ruszajże pan, do stu diabłów! — wyrzucił i Łanowiecki zrozumiał, że jego prześladowca znalazł się w mocy amoku.

Szosa biegła starym sosnowym lasem, łagodnymi zakrętami, jechali teraz wzdłuż rzeczki o powierzchni jak odlanej ze srebra. Łanowiecki poczuł, jak bardzo męczy go pragnienie, zupełnie zaschło mu w gardle. Łoś prawie bez przerwy mówił, były to niezrozumiałe strzępy zdań, jakieś oderwane, powtarzane w kółko słowa. Przeklinał kogoś, przed kimś się tłumaczył. Raz tylko zwrócił się do Łanowieckiego:

— Musiałem — powiedział żalonym tonem. — Nie mogłem czekać. Dostał tak, że by się z tego nie wyliź. Czekać aż mnie znajdzie? Do cholery, każdy by tak postąpił.

Willys sforsował wyboistą groble między dwoma jeziorami. Nicco dalej, z grzbietu nagłego wzgórze Łano-

wiecki ujrzał panoramę bezwstydną malowniczą. Błada pręga zamykała horyzont. To był przecież cel podróży — morze. Nie było co się ludzi. Spojrzenie rzucone z ukosa na twarz Łosia potwierdziło ten domysł. On mnie zastrzelił, gdy tylko uzna, że nie jestem już mu potrzebny.

Jechali teraz wzdłuż rzeczki zapadłej w płytki wąwóz, droga biegła jego skrajem. Na pewno będzie to kiedyś raj dla turystów — pomyślał Łanowiecki. Czy naprawdę musiało mi się to przydarzyć? Oba brzozy głębokiej tu szczeliny, z leniwie płynącą na dnie rzeczką, spłaj wysoki, lekki most. Gdy wjeżdżali na niego, Łoś rozkazał zatrzymać wóz. Łanowiecki uczynił to i pomyślał, że przez cały czas, w ciągu całej tej przeklętej podróży nie miał ani razu prawdziwej szansy.

Stali na tym moście nieznosnie długo, Łanowiecki czekał w napięciu. a Łoś rozważał coś, zneruchomiał przychajony.

— Jedziemy — powiedział wreszcie.

I Łanowiecki z ulgą przejechał most, za którym szosa opadała w zasnutą mgłą nizinę. Willyś nabierał na stoku coraz większą szybkość. Wywalił wóz do rowu? Komu pisać... — myślał gorączkowo Łanowiecki. Może lepiej tak skończyć niż dać się bezkarnie zaszlachtować?

Wtedy właśnie, jakby doprawdy widzący grę do punktu krytycznego, wdał się w sprawę przypadek. Wozem zarzuciło, tak że Łanowiecki z trudem utrzymał go na szosie.

Złapał gumę.

— Co się stało? — krzyknął Łoś. — Dłuka. — Łanowiecki pomyślał, że ta drobna krakska może stać się dla Łosia bodźcem, by grę zakończyć.

— Co teraz?

— Mam zapasowe koło.

Łanowiecki powiedział to, wyliczywszy silnik. Nie ruszał się ze swego miejsca, słuchał ciszy, jaka ogarnęła ich zewsząd. Gdyby z tego wyszedł, pomyślał. Trwał w bezruchu, póki Łoś się nie zezłościł:

— Na co pan czeka?

— Sam nie podolam. Pan wie, że jestem po kontuzji.

— Wyśiadamy.

Tylko spokojnie, tylko spokojnie... — Myślał Łanowiecki otwierając skrzynię z narzędziami. Nadmorska niziną, cała w opalizujących mlecznych oparach, nurzała się w blasku poranka jak w kąpieli. Tu, gdzie zatrzymali się, w głębokim cieniu lasu, panował jeszcze półmrok przedświata. Łanowiecki drżącymi rękami dobył tyłkę do opon i lewarek. Zabrał się do odkręcania uchwytyw przytrzymujących zapasowe koło. Łoś stał za jego plecami.

— Będzie musiał mi pan pomóc — powtórzył Łanowiecki.

— Zobaczymy, rób pan swoje.

Zaskrzypiał lewarek i tył wozu nieco się uniósł. Łanowiecki wyprostował się i otarł czoło.

— Jestem cholernie słaby po tej kontuzji — powiedział.

— Rób pan swoje! — powtórzył Łoś ze złością. — Czego pan marudzi?

Lewarek dźwignął się jeszcze trochę, ale tylko tyle, że można było adają koło o sfiaczonej, przedziurawionej oponie. Łanowiecki odczekał je na pobocze drogi, dźwignął zapasowe koło, zaczął się mocować, ale napompowana opona nie dawała się założyć na zbyt nisko uniesiony bęben hamulca.

— Niech pan mi pomoże — zwrócił się do Łosia. — Sam nie dam rady. — Cholera, nie wiem, gdzie jesteśmy — bąknął zafrasowany Łoś.

— Proszę plecami podeprzeć wóz. Trzeba go jeszcze trochę unieść.

— Nigdy pan tu nie był?

Łoś zmrucił oczy, widać było, że męczy go jakaś decyzja.

Mgła unosiła się i miała teraz przed sobą jej wysoko, wszystko osłaniającą ścianę. Łoś raz jeszcze zaklął. Wparł się w burtę wozu plecami. Łanowiecki z gorliwym pośpiechem chwycił znów zapasowe koło, dźwignął je.

— Jeszcze trochę, jeszcze trochę — pokrzykiwał, ciężko dysząc. Koło znów nie zaskoczyło na piastę.

— O, cholera! — powiedział Łoś.

— Chwilę odsapnę.

Willys znów opadł na lewarek. Łanowiecki wyprostował się u jego stóp na asfalcie leżało zapasowe koło.

— Nie można tego wraku podnieść wyżej? — spytał Łoś.

— Lewarek nie daje się... a ja nie mam siły.

— Niech się pan odsunie — powiedział Łoś i spojrział z ukosa, podejrziwie. Łanowiecki natychmiast usunął, wtedy Łoś ułknął pistolet w kieszeni marynarki. Chwycił korbę lewarka, naparł na nią. Przekładnię zagryzła, willys drgnął.

— Pójdzie — machnął ręką Łoś. — Oczywiście, że pójdzie.

— I wtedy koło lekko zaskoczy — stwierdził prawie wesoło Łanowiecki. Stał z boku, Łoś był ledwie o krok. Zagryzłały trybiki lewarka. Na wschodzie, nad ścianą mgły ukazywała się aureola: słońce było coraz wyżej. Łoś sapnął z wysiłku.

Łanowiecki powtarzając zachęcająco: — Idzie, idzie! — sięgnął za siebie. Po omacku natrafił na zimny, oślizły od smarów trzonek tyłki do opon, leżącej na stopniu wozu. Pan Łoś nachylił, z coraz większym wysiłkiem kręcił korbą lewarka. Jego lysiina poczerwieniała. — Dobrze, jeszcze trochę — zachęcał Łanowiecki. Pochylił się do przodu, z całej siły zamachnął się, ciężki metalowy drąg w jego rękę zatoczył łuk, spadł na połaconym kark, opięty przybrudzoną kornierzykiem angielskiej koszuli. Ten sam ohydny chrzęst. Pan Łoś bezwładnie opadł na drogę. Jego ciało wyważyło lewarek spod koła, willys przechylił się i zgrzytnął bębem hamulca o asfalt.

Było po wszystkim.

Łanowiecki stał nad ciałem, zaskoczony i oszołomiony. Nie mógł uwierzyć, że tak się to skończyło. Usiadł na stopniu wozu. Potem, jakby podciety strachem, że Łoś zerwie się ze spłuwą w garść, skoczył ku leżącemu, schwył go za nogi, odcignął na pobocze drogi. Przewrócił na wznak. W pośpiechu obszukał kieszenie. Znalazł trzy pistolety. Swoją, wielką, ciężką P-38. Drugi nieznanego systemu. I mały, niklowany, elegancki.

Łoś leżał na poboczu drogi, zdawał się patrzeć ze szczególnym wyrazem nieruchomych oczu w niebo. Usta rozwarte, strużka krwi. Siał wicher, zebrał burzę — pomyślał bez nienawiści Łanowiecki. Trzeba się śpieszyć. Jakże to proste, pomyślał, czy dawniej przyszedłoby mi to tak lekko? Charakterveränderung?

Zmienił koło, schował narzędzia, ostrożnie zawrócił wóz na wąskiej drodze. Uniósł z wysiłkiem ciężkie ciało, zwałił je na tylnie siedzenie. Wskoczył za kierownicę. Zatrzymał samochód na środku mostu, przez który niedawno przejeżdżał. Znow mocował się chwilę ze zwłokami Łosia. Docignął je do balustrady i tu szybko sprawdził kieszenie nieboszczyka. W portfelu było trochę

pieniędzy: złotych, rubli, dolarów, nieco szpargałów, dokumentów, listów. Zebrał to wszystko, zawiązał w chusteczkę. Nie miał czasu na czytanie, w każdej chwili na tej opustoszałej drodze mógł się ktoś zjawić. Z trudem dźwignął zwłoki Łosia i przetrzucił je przez balustradę. Opięrały się, jakby w obawie przed tym, co ma nastąpić, ale zepchnął je wreszcie i Łoś pokoziołkował na dno jaru.

— Ty stary drapiu! Dowojowałeś się! — krzyknął za nim.

Wrócił do samochodu. Na bocznym siedzeniu, poplamionym krwią, leżała metalowa kaseta. Rzucił ją na siedzenie kierowcy, potem zrzucił marynarkę, też całą w ciemnych plamach. Sprawdził, czy nie ma poplamionych spodni. Metodycznie przeszukał kieszenie własnej marynarki. Wyjął z nich wszystko: portfel, scyzoryk, portmonetkę, zapalniczkę, kucze, pióro i ołówek. Złożył to odek, na siedzeniu kierowcy, wydarł podszewkę marynarki, odcierał rękawy, rwał kornierz, prui szwy na piecachu. Tymi szmatkami wytarł z ceraty siedzenie kierowcy. Uparcie nie dawała się zerwać, musiał użyć benzyny. Dopiero tak. Wreszcie uznał, że wóz jest w porządku. Spadek po panu Łosiu owinął w okrwawione szmaty, obciążył to kamieniem i cisnął daleko w nurt rzeki.

Obejrzał kasę, ten skarb, dla zdobycia którego Janusz i Łoś gotowi byli walczyć na śmierć. Ot, zwykła podręczna kaseta. Co miały oznaczać te podśluchane aluzje Łosia? Potrząsnął kasą, nie nie zagrzechało. Widać nie biżuteria. Spróbował ją otworzyć tyłką do opon, zmęczył się i jeszcze bardziej podniecił, bo niepokoiła go ciekawość, ale zamek nie ustąpił. Wtedy rozwałił go trzema strzałami z pistoletu Janusza. Oczywiście było to szalenie, huk długo przewalał się echem po lesie. Podważył wieczko. W kasie znalazł tylko splete banderoi! Jeszcze nie ostemplowane kartki żywnościowe i czyste, kolorowe blankiety, było ich dużo. Obejrzał je zdumiony nie rozumiejąc, dlaczego tamci dwaj tak bardzo zawiadali nimi ten krwawy amok? Po co im były te kartki? Poczuł się ogłupiały. Zaczął się gorzko śmiać. Zatrzasnął kasę i cisnął ją na tylne siedzenie Willysa. Włączył motor, nacisnął na gaz. Strzałka szybkościomierza skoczyła ponad czerwoną cyfrę, oznaczającą pięćdziesiąt mil.

W miejscu, w którym rzeczka skręcała w bok i znikła w lesie, raz jeszcze zatrzymał wóz, by umyć się w lodowatej wodzie. Potem cisnął w jej nurt broń Janusza i z jeszcze większym rozmachem, daleko w błotnistą, porośniętą tatarakami zakale rzeczkę, przeklął kasę. W powietrzu otworzyła się i rozsypała po rzeczce swą zadziwiającą zawartość. Wiasny pistolet i śmiertelnością zabawkę pana Łosia schował do kieszeni spodni. Był tylko w koszuli. Kaburę wrzucił do schowka pod siedzeniem wozu. Spojrzał na zegarek. Dochodziła czwarta.

— O, raju! — powiedział głośno. — Ta noc trwała chyba sto godzin.

Koniec

Na tym kończymy druk fragmentów powieści, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Poznańskiego. Powieść Wackawa Bilińskiego otrzymała I nagrodę na Ogólnopolskim Konkursie Literackim w Szczecinie.



DETEKTYW PRZY-SZŁOŚCI

W „Bibliotece problemów” PWN ukazała się książka słowackiego uczonego Juraja Tölgyessy'a pt. „Detektywi wieku atomu”. Sam autor we wstępie przestrzega czytelnika:

„Książka, którą dostajecie do rąk, nie jest ani powieścią rozrywkową, ani pracą naukową, ani też podręcznikiem. Jest to zbiór rozprawek o tym, jak można oznaczać promieniotwórcze i zjawiska (z których niepromieniotwórcze pierwiastki i organizmy żywe jak my sami), wykorzystując jądro promieniotwórcze i promieniowanie jądrowe. Są to rozważania o metodach analitycznych, zdobywających coraz większe znaczenie przy badaniu poliprowaników, minerałów, tworzyw sztucznych, materiałów krzemionkowych, reakcyjnych i biologicznych, meteoritów, zjawisk archeologicznych itd.”

A ktywacja — jak to wyjaśnia słowniczek załączony do książki — jest to proces jądrowy, w toku którego pierwiastki nieaktywne pod wpływem promieniowania jądrowego przechodzą w promieniotwórcze. Autor jest entuzjastą tej metody i uważa, że dzięki niej można znaleźć odpowiedź na wiele nurtujących nas pytań. Na przykład na pytanie dotyczące wieku naszego Układu Słonecznego. Na odbytym niedawno sympozjum naukowym w Nicei użyci zgodzili się, że na podstawie metody aktywacyjnej wiek Układu Słonecznego można oszacować na około 4,5 miliarda lat, a jego prawdopodobieństwo waha się w granicach stu milionów lat. Juraj Tölgyessy twierdzi, że w Ameryce Południowej obok wielu autentycznych zabytków dawnej kultury można spotkać setki falszyfikatów, a są one tak dobrze podrobione, że trudno stwierdzić fałszerstwo. Do wyrobu niektórych glinek używano starożytnych rzemieślników tamtego rejonu. Absolutną pewność co do wieku zabytku daje — zdaniem autora — tylko analiza termoluminescencyjna, która porówna wiek przedmiotu z dokładnością do 1 procent. Ale zbyt mało jest jeszcze takich aparatów, które mogłyby dokonywać takiej analizy i wiedza o tym fałszerze.

Metoda aktywacyjna znajduje też zastosowanie w kryministyce. Historia sądownictwa zna już procesy, kiedy adwokaci łacy obalali opinie specjalistów fizyków i kiedy opinie tych ostatnich wpływały na decyzje sądów. Autor postawił — Stanisław Stupkiewicz — przetrzeźniając jednakże czytelnika, aby tej metody nie traktował zbyt jednostronnie, jako uniwersalnej, gdyż może ona być „zaledwie jednym ogniwem w łańcuchu logicznym, stanowiącym dowód sądowy”. Mimo zastrzeżeń „Lektura książki Juraja Tölgyessy'a odkrywa przed czytelnikiem zupełnie nieznaną, a fascynującą świat i dlatego godna jest polecenia.

Juraj Tölgyessy — „Detektywi wieku atomu”, przekład i polskie: Stanisław Stupkiewicz, PWN, Warszawa 1977, str. 293, cena zł 25.—

WILK STEPOWY

„W latach sześćdziesiątych znajomość lektury Hessego stała się znaczącym rysem subkultury amerykańskiego undergroundu. Dziś nakład dzieł Hessego w Stanach Zjednoczonych sięga blisko siedmiu milionów egzemplarzy. Jeden z teoretyków adaptacji Hessego do kultury amerykańskiej, traktował niektóre jego dzieła jako rodzaj instrukcji po psychodelicznych przeżyciach: „Przed seansem LSD powinienesz czytać „Siddhartha” i „Wilka stepowego”. Ostatnia część „Wilka stepowego” to nieoceniony przewodnik — czytamy w postawie Huberta Ortowskiego do „Wilka stepowego”. Oczywiście takie rozumienie prozy Hermanna Hessego jest więcej niż mocno uproszczone. O „Wilku stepowym” powieści, która opublikowana została w roku 1927, sam autor tak pisze: „Zadanie „Wilka stepowego”: Prześledzić niektóre, według mnie, „wiecznych” zasad, charakterystyczne dla ludzkiej psychiki, a przy tym tendencji do ich niszczenia oddziaływania także na bardziej wzniosłe duch i charakter. Zrezygnowałem z maskarady i odsłoniłem się, aby móc pokazać sceny i postacie, które w rzeczywistości są bezkompromisowym sposobem, dumę człowieka uzdolnionego ponad przeciętność, którego doświadczenia, epoka. Człowieka, który jednak wie, że w podświadomości jest „wielki”. Już choćby z tego krótkiego porównania zamierzam pisać o „Wilku stepowym” w powieści w niektórych, ale specyficznych kręgach odbiorców świadczy, że mamy do czynienia z utworem niepowtarzalnym, skomplikowanym, a przy tym interesującym. Trudno tutaj podopiecznym czytelnikom „Wilka stepowego”, jak należy rozumieć tę niekonwencjonalną także ze względu na złożoną strukturę, powieść. Interpretacja może być bowiem bardzo różna.

„Wilku stepowy” ukazał się w Bibliotece Klasyki Polskiej 1 Obcej.

Herman Hesse „Wilku stepowy”, przełożyła G. Micińska, Wyd. Poznańskie, 1977, str. 234, cena zł 42.—

AFORYZMY

Tym razem, w cieszącej się sporą popularnością PIW-owskiej Bibliotece Aforyzmy ukazały się „Aforyzmy chińskie”, w wyborze i przekładzie Mirosława Jerzego Kłuska. W zbiorze zawarto myśli z chińskich dzieł filozoficznych powstałych między VI wiekiem p.n.e. a II wiekiem p.n.e. Przegląd rozpoczyna się od myśli zawartych w pierwszych częściach „Dialogów konfucjańskich”, które są najstarszymi tekstami przedstawiającymi filozofię Konfucjusza, spisany już po śmierci uczonnego na podstawie notatek sporządzanych i przechowywanych przez jego uczniów.

„Kto nie umie daleko spojrzeć, ten blisko ma kłopoty”. „Nie słyszałem, by ktoś sam będąc garbaty innych zdołał wyprostować.”

„Jest biedaka bogactwem nazwiesz, ten w gniew wpada. Jeśli jednak prawym nazwiesz kogoś, to choćby i prawym nie był, będzie zadowolony. Cóż za przewrotność!”

„Głupie nie rozumie, nawet gdy coś się dokonało, mędrzec zaś widzi wszystko, zanim zaszlekuje.”

Tę próbkę aforyzmów starożytnych myślicieli chińskich prezentujemy gwałtownie i z wielką ciekawością. Po resztę trzeba już sięgnąć do zbioru. Warto, bo choć wiele z nich może się wydać mało efektywnymi, to przecież zawierają uniwersalną prawdę o życiu.

„Aforyzmy chińskie”, PIW, W-wa 1977, str. 97, cena zł 20.—

DIAMENT „MARIA”

„Diament „Maria” to kolejna powieść Juraja Skopa, młodego prozaka syberyjskiego, opublikowana przez Wydawnictwo Łódzkie. Ci, którym nazwisko pisarza nie jest obojętne, z pewnością pamiętają jego wcześniejszą, bardzo interesującą powieść „Tej zimy zapłakało jezioro”, również udostępnioną nam przez tę samą oficynę wydawniczą. Juraj Skop nie epatuje czytelnika ani wymyślną konstrukcją swoich powieści, ani też skomplikowaną stylistyką. Jego prosta, surowa narracja jest taka jak ludzie, o których opowiada. Twierdzi, namietni, gwałtowni, ale wrażliwi, popadający w konflikty, których rozwiązanie wymaga wielkiej ceny. Czasem nawet aż ludzkiego życia.

Akcja powieści „Diament „Maria” rozgrywa się oczywiście na Syberii, wśród współczesnych poszukiwaczy diamentów. Surowa przyroda stanowi tło, na którym pisarz wyraża swoje malutkie ludzkie losy. Nieproste, niełatwe, ale jakże ciekawe i prawdziwe.

Juraj Skop „Diament „Maria”, przełożył A. Szymański, Wyd. Łódzkie, Łódź 1977, str. 143, cena zł 12.—

WARTO PRZECZYTAĆ

Lesław M. Bartelski — Polscy pisarze współcześni 1944—1974. Informator. WAiP. 1977, zł 70.—
Adam Galis — Osiemnaście dni Aleksandra Błoka w Warszawie. Czyt. 1976, zł 40.—
Bolesław Dunikowski — Szkoła im. Tadeusza Czackiego w Warszawie 1876—1976. PIW, 1977, zł 80.—
Edward Obertyński — Łowcy wraków. Iskry. 1977, zł 32.—
Eudard Petiška — Noce posłubne. Czyt. 1977, zł 30.—
Walentyn Rasputin — Żył i pamiętał. Czyt. 1977, zł 27.—
Nora Szczepańska — Odwaga. WPOZ. 1977, zł 18.—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

ŁÓDŹ WACŁAWA KONDKA

W Klubie Dziennikarza otwarto wystawę rysunków Wacława Kondka — kilkadziesiąt prac z cyklu „Łódzkie fabryki” oraz kilka impresji z podróży, wzbogaconych opowieściami, spisanymi pięknie w stylu średniowiecznych inkunabułów.

Łódź, jej kultura i architektura, zawdzięcza Wacławowi Kondkowi wiele. Stworzył piękne cykle rysowanych portretów miasta: albumy — „Ulica Piotrkowska”, „Łódzkie pałace” oraz ogromny cykl „Fabryki”, którego fragment właśnie przedstawiono publiczności.

Artysta był niezwykle wrażliwy na piękno łódzkiej architektury. Rysując setki wizerunków fabryk, pałaców, wnętrz, nie wykonywał po prostu zamówienia wydawcy, ale tworzył według własnego scenariusza własną wizję miasta. Zaledwie część jego rysunków z łódzkich cykli weszła do wydawnictwa albumowego. Kondka wiedział, że rysuje więcej niż

może się zmieścić w albumach, ale wciąż tworzył nowe portrety architektury. Nie mógł przejsz obojętnie obok czegoś, co go zachwycało.

Rysunki z cyklu „Łódzkie fabryki” były już częściowo publikowane w prasie, ale album, do którego właściwie powstały, nie ukazał się dotąd. Po śmierci artysty sprawa albumu jakoś się rozplynęła. Początkowo miało to być wydawnictwo duże, godne tematu i godne Wacława Kondka. Miało to być trzeci wielki album Kondka — po „Piotrkowskiej” i „Pałacach” — album tworzący razem z poprzednimi jakąś zamkniętą całość artystyczną i tematyczną.

Wiem o tym, bo jestem autorem podpisów pod rysunkami fabryk do tego nie wydane albumu i pisałem też do niego impresyjny wstęp o murach łódzkich fabryk. Koncepcja się jednak z czasem zmieniła i zamiast dużego albumu zdecydowa-

wano wydać niewielki folder z kilkoma rysunkami.

Niestety, i ta publikacja nie doszła do skutku i dziś już nawet nie wiem, jakie będą losy wydawnicze ostatniego, wielkiego cyklu rysunków Wacława Kondka. Zamiast albumu mamy wystawę, którą obejrzy może pięćset, może tysiąc osób. Dobrze, że pomyślano o zorganizowaniu tej wystawy, ale bardzo źle, że ostatni łódzki cykl artysty nie został utrwalony w druku.

A jest to, moim zdaniem, bardzo ważna sprawa. Jest naszym obowiązkiem zadbać, aby rysowana piórkami opowieść o łódzkiej architekturze, nie została na zawsze niedokończona. Stare łódzkie fabryki, ustępują miejsca nowym, rozspływają się pod ciążąsi łomów i kilofów. Takie jest prawo przemijania. Ale te stare fabryki zostały na zawsze utracone ręką artysty. I nie mamy prawa tych artystycznych wizji i tego doku-

mentu architektury skazywać na zapomnienie.

To jedna sprawa. Ale Wacław Kondka także pisał. Przypominając nam o tym na wystawie jego refleksyjne opowieści z podróży. Pisarstwo Wacława Kondka, tak jak jego twórczość plastyczna, było codziennie wydarzeniem i sprawą artysty nasycał atmosferą baśni i egzotycznej podróży. Jego opowieści i felietony zawsze były podróżą — do Włoch, do Neseberu, ale także na stare łódzkie podwórko, na łęczki zamek, do Uniejowa...

Zawsze wierzyłem, że kiedyś, po latach, Wacław Kondka napisze piękną książkę o wielkiej pasji, wielkiej podróży i wielkiej przygodzie swojego życia — o swojej sztuce.

Niestety, dziś wiemy, że taka książka nie powstanie. Tym bardziej winni jesteśmy pamięci Wacława Kondka książkę, w której zebrano by — rozrzucone po czasopiśmie — wszystkie Jego opowieści.

WIDOK

LEWYM OKIEM

SPOJRZEĆ NA ŻÓŁWIA...

Jedną z najbardziej atrakcyjnych pozycji w programach telewizyjnych stanowią według mnie filmy przyrodnicze. Seria „Świat”, który nie może zagiąć — to były rewelacyjne reportaże o przedziwnych sprawach, które dzieją się na naszym świecie, a o których tak mało wiemy — chyba dlatego, że tak znikomy wpływ mogą wywrzeć na naszą codzienną krzątaninę. Bujne a fantastyczne życie w głąbinach morskich, to przecież sceny jak z innej planety. Ich podpatrzenie i uchwycenie kamerą, skłoniłem do postawienia wyżej w hierarchii osiągnięć artystycznych od jeszcze tu choćby nie wiem jak wymyślnych pogoni samochodów z ostrzelującym się gangsterem. O ileż sensacyjniej wyglądała pogoni i ucieczki dzwiotworów spod rafy koralowej, zaloty pokracznych krabów, spojrzenia wypukłookich ośmiornic! W tym świecie chodzi zawsze o sprawy ostateczne, tu nie ma miejsca na problemy i wahania. A przy tym te kształty, te formy, ruchy, gesty, dźwięki! Każdy drobiazg z

osobną, to absolutna egzotyka, rewiacja, okazja do drugiego rozmyślenia. Normalne kina niechętnie sięgają po tego rodzaju filmy, bo na cały seans to za mało, a nadprogramowo ludzie nie lubią i tupa. A w telewizji w sam raz: mieszasz sobie szczytkę w kompozycji i bierziesz udział w fantastycznej przygodzie dwieście metrów pod wodą...

Można też do tej przygody zbliżyć się o małeńki kroczek — do jej najprawdziwszych realiów. Otóż istnieje w Gdyni, wcale nie reklamowane, mało „komu” znane, Muzeum Morskie. Stoł naprzeciw tego miejsca, przy którym zawsze przybija „Stefan Batory” i inne statki liniowe. Prospektu Orbisu, Sportouristu i Gromady, sławie uroki i ciekawostki urlopowe Wybrzeża, o muzeum nie wspominają. A przecież za parę złotych przekraczasz próg i nagle, bez ostrzeżenia, znajdujesz się w innym wymiarze.

Za wielką szyć pała potężny, biały żółw. Ma około metra średnicy, pokryte łapy i małą główkę na pokrytej łuską

szy. Żółw porusza się powoli po dnie swego akwarium, podpiwając ku górze, opada, trąca nosem kamyczki i patrzy ci w oczy. Patrzy nie wiadomo w co. Nie ma porozumienia z żółwiem. Nie dowiemy się nigdy, co widzi żółw tam, gdzie my widzimy to co widzimy. Nie mrugnie, bo nie ma powiek. Patrzy i pełza, potężny, absolutnie nie komunikatywny, żywy nasz biologiczny brat, starszy o dziesiątki milionów lat. Dalej zaś, w długich rzędach akwariów, odzwierają w oczach sceny z małego ekranu. Zardzewiałe helmy wojskowe, zaczynają się poruszać, wysuwają się spod nich cienkie nogi, hełm przewraca się jakby go ktoś nogą potrafił i sterując przedziwnym, nagle wyrosłym ogonem plynie ku drugiemu hełmowi, zderzają się, ocierają, pograżają w obłoku srebrnych kropel powietrza. Nie pamiętam, jak się to nazywa. Zwierzę — zdaje się, że z rodzaju krabów — wręcz trudne do wyobrażenia. Jedźcie do Gdyni tylko po to, żeby go zobaczyć. Warto.

Ryba ponad pół metra, a więc wiele razy większa od tych, które łapiemy na wędkę w naszych ścieko-rzekach, ma na głowie płaską tarczę. Nagle odwraca się plecami do nas, ustawia w pozycji pionowej i ta tarcza na głowie przysysa do ściany akwarium. Wisi tak jak martwa tuż przed naszymi oczami, potem jej towarzyszą — trzecia, dziesiąta — cały rząd martwych ryb, powieszonych za głowy. Ale one żyją, tylko taki ich zwyczaj: zdechnąć na próbę i zawisnąć za łeb, jak w sklepie na haku.

Są ryby z wąsami i ryby w okularach, brodate, z pawimi ogonami i z ogonami jak szczyry. Są muszle — sunące po dnie, kształty trudne do uwierzenia i ukwalają — oplatające gwałtownym ruchem tyłami ramion jakąś nieszczęsną rybkę. Można na to patrzeć godzinami, a po tygodniu wrócić i znów patrzeć. Ale nikogo nie namawiam, bo jeszcze mi ktoś zarzuci, że robię płatną reklamę gdyniejskiej instytucji. Ani instytucja, ani ośmiornice nie mi nie dają, słowo daję.

CWIEK

PROPOZYCJE

KWALIFIKACJE I SYMPATIE

Skończył się już serial telewizyjny, który — wydaje się — wszystkim serdecznie polubił. Myślę tu o „Znakach szczególnych” Andrzeja Twardochłoba — scenarzysty i Romana Zaluskiego — reżysera. Po ostatnim odcinku, który emitowany był 4 kwietnia 1977 roku, odbyła się w studio dyskusja, z której zainteresowało mnie jedno. Otóż w listach, jakie w czasie emisji tego serialu napływały do TVP, widzowie twierdzili, że dyrektor Jaworowicz nie był postacią sympatyczną. To prawda, ale był dobrym dyrektorem.

W tym samym odcinku jest taka scena, kiedy do dyrektora Jaworowicza przyszedł przedstawiciel instancji partyjnej, aby mu zwrócić uwagę na jego metody postępowania z ludźmi. Dyrektor Jaworowicz był bowiem kierownikiem wymagającym, konkretnym, nie znoszącym pustostawia, cenącym czas swój i innych, oczekującym od współpracowników konkretnych wniosków do zatwierdzenia, a nie przychodzących do niego po dobre rady. Słowem — nowoczesny, dobry kierownik. W czasie rozmowy z przedstawicielem instancji partyjnej dyrektor Jaworowicz postawił sprawę jasno i konkretnie: otrzymałem określone zadania, obdarzono mnie zaufaniem, więc proszę nie wtracać się do moich metod, proszę oceniać je według skutków. Prawa dyrektor Jaworowicz nie miał, był sprawiedliwym, nie wyrażającym i to się mogło nie podobać, to się nie mogło podobać i zapewne nie podoba się.

Nie chcę tu twierdzić, że Instancja, organizacja partyjna nie ma prawa oceniać metod postępowania kierownika. Mają takie prawo. Nie chcę też twierdzić, że kierownik — obojętnie jakiej placówki — przedsięwzięcia — może osiągać postawione mu zadania dowolnymi metodami. Nie zamierzam utrzymywać, że cel uświęca środki. Twierdzę jednakże, że nie wolno oceniać czyjejkolwiek pracy na podstawie tego, że mnie się nie podoba jego kolor oczu, albo sposób w jaki się ubiera czy pije kawę. Nawet sposób bycia — jeśli oczywiście nie jest w kolizji z podstawowymi normami współzycia społecznego — nie może przesądzać o wynikach czyjejś pracy.

Ale u nas jest w dobrym zwyczaju, że każdego nowego kierownika — obojętnie jakiej placówki i jakiego przedsięwzięcia — ocenia się pozytywnie lub z góry negatywnie na podstawie powierzonej mu pracy. Na podstawie sympatii i antypatii. — Co o nim? — pomyślał ten i ów. — On to wszystko rozłożył. Nie kochamy kierowników — i to jest prawda, a nie kochamy ich ze względu na to, że każdy z nas jest „wybitną indywidualnością” i wszystko wie lepiej i lepiej ale wszędzie nadaje tylko ko nie doceniają.

Ostatnio pojawiły się w prasie nieśmiśle ataki na trenera polskiej reprezentacji Jacka Gmocha za to, że nie bierze do siebie reprezentacji bramkarza ŁKS, Jana Tomaszewskiego. Jak się powszechnie uważa Jan Tomaszewski znajduje się w doskonałej formie i Jack

Gmoch go krzywdzi, nie widząc w drużynie, która w Kopenhadze spotka się z Duńczykami. — Co on robi? — powiadają niektórzy. Rozkłada piłkę nożną!

Ale, jeśli wolno przypomnieć, to zadaniem Jacka Gmocha jest odbudowanie polskiej piłki nożnej, która — do niedawna — leżała się w świecie. Nie można więc rozłożyć czegoś, co już było rozłożone. A to dość istotna różnica.

Dobrze poinformowani — a gdzie ich nie ma — utrzymywali, że Jack Gmoch nie bierze Jana Tomaszewskiego do reprezentacji, bo go... nie lubi. Przypomnieli Jackowi Gmochowi, że to nie jest jego „prywatna drużyna” i wołali o pomoc „słynnych”, którzy by to trenowali reprezentacji wytnęli, na jakim świecie żyje. I Jack Gmoch wyplatał im wszystkim figla, powołując Jana Tomaszewskiego na mecz, który odbył się w Płocku 6 kwietnia 1977 roku. A czy powoła go na następne, to znów jego sprawa.

Każdy ma prawo wyrażać swoją opinię o składzie reprezentacji, tylko że występuje tu pewien drobiazg, a mianowicie odpowiedzialność za jej postępy ponosi Jack Gmoch, a nie cały tabun doradców. Pamiętam jeszcze czasy, jak usłuchano wtrącać się do poczyną Huberta Wagnera i ile on miał kłopotów, aby przeprowadzić swoje zamierzenia. A co z tego wyszło, pamiętamy chyba dobrze wszyscy. Zresztą już po zlocie z Mistrzostw Świata w Tokio i po Olimpiadzie w Montrealu, dyskusjo-

wano o metodach Huberta Wagnera, choć sukcesy powinny były skłonić malkontentów do milczenia. Teraz dyskutuje się o metodach Jacka Gmocha, odwołując mu prawa do własnych koncepcji i metod. A na jakiej podstawie? — że zapytani skromnie. Bo jest inny? Bo wymyśla jakieś testy i konsultacje i inne dżwiry?

Wydaje mi się, że każdy kierownik, podejmując się wykonania określonego, a i trudnego zadania, powinien mieć własną koncepcję. I za to, że ją posiada — trzeba go chwalić. Ludzi nie posiadających żadnych koncepcji nie powinno się mianować na kierownicze stanowiska. Ale my bardzo lubimy średniaków, którzy prochu nie wymyślili i nikomu nie wadzą. Cienimy kierowników, z którymi o wszystkim można pogadać i którzy nie przeszkadzają, a bardzo nie lubimy takich, którzy mają własne zdanie, w dodatku sprzeczne z naszym zdaniem i dużo wymagają. Lubimy też ich sędzić zanim coś zrobią, s góry, tak na wszelki wypadek. Reprezentacja pod kierunkiem Jacka Gmocha niewiele jeszcze zrobiła. Poczekajmy więc z sędzią. Poczekajmy na fakty.

A tak już na marginesie, to przynajmniej się, że znam wielu różnych ludzi, których bardzo lubię, ale z którymi nie chciałbym pracować razem i przeciwie. Bo co jedno ma do drugiego? W moim przekonaniu przynajmniej.

MARCIN RODAK

KRZYSZTOF WODNICZAK DYSKOTEKA NA ESTRADZIE?

Jawia się nowe koncepcje imprez dyskotekowych. Podają kilka wariantów, może zostaną odczytane i przez ambitniejszych organizatorów sukcesywnie wcielane w polskie życie dyskotekowo-estradowe. Co prawda, dotychczasowy monopolista — Ośrodek Gier i Klubów Rozrywkowych...

przy Zjednoczonych Przedsiębiorstwach Rozrywkowych — jakby ostatnio przeżywał pewien regres, niemniej pojawiły się dyskoteki firmowane przez agencje estradowe (Bydgoszcz, Sopot, Warszawa) czy Wojewódzkie Spółdzielnie Spożywców „Społem”.

Moje propozycje imprez mogą zaistnieć w Klubach Rozrywkowych, zapewniających pomieszczenia, sprzęt oraz ludzi pracujących za konsolą — prezenterów.

I. Zespoły prezenterów — tzn. grupy złożone z prezenterów (duety, tercety, kwartety), posiadających umiejętności „poza-prezenterkie”, to znaczy dyskotekowej, którzy poza prezentowaniem płyt potrafia stworzyć części programowe w postaci różnego typu „przerwywań” lub części artystycznych. Na przykład w 1972 r. istniał „Prezenterki Kabaret Piosenki” złożony z trzech prezenterów, którzy urzędowali w dyskotekach, a w międzyczasie prowadzili na zmianę dyskotekę, aby wspólnie zakończyć ją 15-minutowym finałem. Byli to Janka Kras, Roger Gregorowicz i Jerzy Kossela.

II. Duety prezenterkie polegać mogą na dwóch prezenterach, stale ze sobą współpracujących. Aparatura dyskotekowa Dynacorda posiada dwa oddzielne sterowane wejścia mikrofonowe, co umożliwia jednocześnie podłączenie dwóch mikrofonów i prowadzenie dyskoteki (całej lub w części) przez dwóch prezenterów. Jeden z nich, nie musząc zmieniać płyt, a tym samym nie związany niewolniczo z pulpitem, może mieć większą swobodę działania jako wodzirej. Powyższe koncepcje zakłada uzgodnienia programu przez prezenterów.

stworzenia koncepcji prowadzenia, prób, reżyserii programu.

III. Imprezy estradowe w oparciu o elementy dyskotekowe nie mają dotychczas wielu zwolenników wśród organizatorów i realizatorów. A byłoby to koncepty wnoszące coś więcej w zakres pojęcia. Przy rozpatrywaniu dyskotecznych imprez estradowych należy za punkt wyjścia przyjąć główne mankamenty obecnych imprez estradowych: 1) charakter składankowy — poszczególne punkty programu łączone są przy pomocy „dziur programowych” wejścia i zejścia konferansjera oraz poszczególnych wykonawców, przerwy pomiędzy utworami, przerwy w trakcie utworu. 2) brak bezpośredniego kontaktu pomiędzy publicznością a wykonawcami (wyłączając indywidualności). Wykonawcy są zbyt zajęci wykonywaniem programu, aby jeszcze kontrolować publiczność, jej nastroje.

Wszystkie te ujemne punkty nie są do pominięcia w dyskotekach — z punktu widzenia dobrego, doświadczonego dyskotekiera. W jego programie nie może być „dziur”. Prezenter wszelkimi dostępnymi mu środkami utrzymuje publiczność w „tętnącym napięciu”, dostarczając nowych wrażeń, nowych podnieceń.

Wystarczy więc zamiast konferansjera zaangażować na jego miejsce prezentera z aparaturą dyskotekową i powierzyć mu reżyserię wykonawstwa programu, aby otrzymać najprostszą formę imprezy estradowo-dyskotekowej, uwarunkowaną doświadczeniami i umiejętnościami danego prezentera.



Foto: Archiwum

WŁODZIMIERZ ŚCISŁOWSKI

NOWOŚCI MUZYKI ROZRYWKOWEJ

Reaktywował się zespół „ELEKTROLUX”, który gra teraz w następującym składzie: 1. Janusz Flak (voc. g. bas.), 2. Józef Plewa (g.), 3. Bolesław Strak (voc.), 4. Tadeusz Ziewaj (p.). Z grupy odszedł Jerzy Więcko (voc., g. bas. g. p. — etc.), który założył nowy ensemble pod nazwą SAM.

Piotr Siwón z „Fioletowo-Zółtych” (voc. g. bas.) przeszedł do „Pomarańczowo-Zielonych”. Na jego miejsce z „Pomarańczowo-Zielonych” przeniósł się do „Fioletowo-Zółtych” Romuald Pień (voc. pól bas.).

Znany multiinstrumentalista Karol Pędziak myśli o założeniu nowej grupy. Oglašamy konkurs na jej nazwę. Główna nagroda: autograf Karola Pędziaka.

Alina Niziolek, zdobywczyni I miejsca w „Konfrontacjach Pułtuskich” została zaproszona do konfrontacji ze swoim impresario p. Janem Starościakiem. Prokurator jest już na tropie organizatora widowiska.

Na festiwal „Złotego Hipopotama” do Bamboko (Senegal) wyjechała nasza czołowa wykonawczyni soul music Pamela Zerdziak. Solistce towarzyszy dyrektor estrady oraz lekarz weterynarii.

III Giełda Piosenki Zaangażowanej nie wyłoniła niestety zwycięzcy. Gaże okazały się zbyt małe.

Mariola Spychała nagrywa nowego longa. Znajdą się na niej kompozycje lidera grupy Antoniego Świergonia oraz wszystkich szwagrow.

Festiwal MIDEM w Cannes obejrzał na szklanym ekranie znany krytyk muzyki rozrywkowej Michał Żelazko. Nie przewiduje się w związku z tym poważniejszych komplikacji.

Pod hasłem: „Szukamy nowych prezenterów i disc-jockey’ów” odbędzie się eliminacja na szczeblu wojewódzkim. Należy zabrać ze sobą czystą koszulę, czarne półbuty i grzebienie.

Z ostatniej chwili: Do grupy „ELEKTROLUX” powrócił jednak Jerzy Więcko (voc. g. bas. g. p. — etc) w związku z czym Bolesław Strak (voc.) założył nową grupę „Deus ex machina”.

WYWIAD Z KOMENDANTEM

Jak ocenia pan komendant polskie zespoły młodzieżowe? — pytamy kpt. S. komendanta MO w mieście S.

— Najwyżej oceniam zespół „Nihil novi sub sole” — Kolegium d/s karno-administracyjnych, odebrane prawo jazdy, łączna suma grzywien 10.000 zł.

Na drugim miejscu uplasowała się moim zdaniem grupa „Szwindlersów” — całkowite zdemolowanie hotelu w S.

O pozostałych grupach nie warto właściwie mówić: ot, drobne uszkodzenia krzeseł na widowiskach, kilka potłuczonych szysz, mały pożar na zapleczu — to by było chyba wszystko.

Wybrał:
HENRYK RUDNICKI

WYPISY ŁÓDZKIE

DWUGŁOS O RAJMUNDZIE REMBIELIŃSKIM

PISZE ROBERT REMBIELIŃSKI:

Rajmund Lubicz-Rembieleński urodził się w Warszawie w roku 1775. Pochodził ze starej zamożnej rodziny szlacheckiej, z dawną osiadłą na Mazowszu. Ojciec jego, Stanisław, chorąży i poseł Ziemi Wiskiej, był sekretarzem króla Stanisława Augusta. Nauki młody Rajmund odbywał w Korpusie Kadetów, który ukończył w stopniu oficerskim ze złotym medalem w roku 1790. Po powrocie do domu zajął się administracją majątku rodzinnego. Jedwabne, okazując w tym dużą pomoc matce swej Marcjannie z Łączyńskich. W otoczeniu najbliższych uczył się kultu dla staropolskich tradycji i obyczajów. Z zacięcia domowego wyrwa go powstanie narodowe pod wodzą Kościuszkę. Mianowany przez Naczelnika pułkownikiem, organizował siłę zbrojną w Ziemi Wiskiej.

Czynny był do końca insurrekcji, a po jej upadku powrócił pod strzechę rodzinną. Tutaj rozszerzył i udoskonalił założone przez swego ojca fabryki sukna w miasteczku Jedwabne, a jednocześnie starał się poprawić doleń włościan w swoim majątku. Studiował dzieła z zakresu ekonomii, prawa i historii. Znajomość obcych języków pozwalała mu zapoznawać się z literaturą zagraniczną. Posiadał zdolności literackie, które uwidoczniły się w szeregu prac o charakterze społecznym, a także w dramacie pod tytułem „Hrabina Salisbury”, wystawionym w teatrze starodowym w Warszawie w roku 1804.

W roku 1810 wydał dzieło pod tytułem „Uwagi nad zasadami podatkowania i ustanowienia porządku w zastoso-waniu do Księstwa Warszawskiego”, a następnie umieścił szereg prac w „Pamiętniku Warszawskim” („O miastach”, „O urzędnikach” i „Człowiek stanu”). Po wejściu w życie ustawy konstytucyjnej Księstwa (Warszawskiego), gdy cały kraj podzielono na departamenty, dekretem króla saskiego z dnia 19 stycznia 1808 roku otrzymał urząd prefekta departamentu płockiego. „Mi-mo okazanej ofiarności i poświęcenia nie uniknął prefekt plocki skarg i zażaleń, złożonych w parę lat później przez kilku obywateli (1816 r.), którzy zarzucali mu zbytnią bezwzględność w postępowaniu, a w szczególności, że w czasie działań wojennych wydawał rozkazy pod groźbą kary śmierci. Wykonana przez Radę Administracyjną komisja do zbadania tych zarzutów, orzekła, iż krok ten usprawiedliwiała gwałtowna potrzeba ukończenia twierdzy, od którego dalsze działania wojsk narodowych zależały i reskryptem z dnia 23 kwietnia 1816 roku od wszystkich zarzutów uniewinnionym go uznała. Wkrótce po bitwie raszyńskiej ks. Józef Poniatowski powierzył mu stanowisko intendenta generalnego wojsk polskich w Galicji.

Gdy chodziło o dobro publiczne, był nieugiętym, bezwzględny, z całą energią zwalczał korupcję i szereg innych plag nadużyć. Fryderyk August, król saski i książę warszawski, w uznaniu zasług odzoblił go wstęgą św. Stanisława.

Po klęsce Napoleona Rembieleński wraz z Rządem Narodowym przenosi się do Dreżna, a po kilkuletniej przerwie wraca do kraju i otrzymuje wysokie stanowisko Prezesa Komisji Województwa Mazowieckiego, na którym bez mała pozostaje lat szesnaście. Jako administrator wielkiej polaci kraju tworzy fundamenty pod rozwój większych ośrodków przemysłowych w województwie. Jego szczególnym staraniem zawiązuje się rozwój licznych miast mazowieckich, a w szczególności Łódź i Zgierz.

(Wyjętek z życiorysu Rajmunda Rembieleńskiego, napisanego przez Roberta Rembieleńskiego w roku 1933. Roczники Łódzkie, tom III).

WSPOMINA KAJETAN KOZMIAN:

„Niemili narodowi, znienawidzony od prowincji galicyjskich — pamięć dumy jego i postępowania na intendenta-rze wojskowej, niecierpiący w województwie plockim za uwieźnienia obywatela w czasie prefektury jego w Księstwie Warszawskim i za ten gwałt przez Radę Stanu pod sąd oddany, na prezesostwie Komisji Województwa Mazowieckiego krnąbrny urzędnik względem władz i starzych. Dumny względem podległych i równych, nieprzejmiony z postaci. Głową do góry noszący i wszystkich bez różnicy tytułem „Wasan” obdarzający, pyszny chyba majątkiem, któ-

ry po pierwszej żonie, Opackiej z domu zagarnął. Tę dumą i szulerstwem paraliżował w sobie zdolności urzędowe, których mu w administracji odmówić nie było można. Sprężysty w wykonaniu, przeniósł ten nałóg z podległego sobie biura do zgromadzenia reprezentantów, niepodległego. Zgola posiadający w najwyższym stopniu talent obrażania wszystkich, obrażający się i w wyrazach cierpki i ostry. Najmniej był zdolny prowadzić, miarkować i łagodzić umysły licznego, a jeszcze polskiego zgromadzenia: Non regebat dictis animos, non mulcebat pectora, non temperabat sed iritabat iras”. (Nie panował za pomocą mowy nad umysłami, nie łagodził serc, nie uspokajał, lecz rozniecał gniew).

Wybór jego uczynił wprawdzie cesarz (Aleksander I), lecz go z tej strony nie znał. Ci winni, co go panującemu między kandydatami podali. Namiestnik (Nowosiłcow) źle wyrachował podając na marszałka urzędnika, i takiego urzędnika. Za powód do wyboru wzmiankowano bytność cesarza przejazdem przez Krosno-niewice, w jego domu, w którym młoda i przystojna żona jego (Rembieleńska) Wojciechowska z domu, honory robiła.

Cesarz jak to zwykle — grzeczny dla pici nadobnej, był uprzejmy dla gospodarstwa. Pałacjacy żądają wyniesienia się mają zabił sobie na tej wizycie cesarskiej podie rachunki, którymi namiestnika dworszczyzna przy swoim na-tręctwie ujął i do podania siebie na kandydata skłonił.

(Kajetan Kozmian, Pamiętniki, tom III, str. 78—79, wyd. Ossolineum, 1972).